

MOJE MIASTO

www.mojemiasto.slupsk.pl

Nr 5 (210) 10 marca 2012 r.

ISSN 1644-4507

Następne wydanie MM w dniu 24 marca

Krystyny mają imieniny str. 13

Motto

Gdyby tak człowieka skrzyżować z kotem, człowiekowi wyszłoby to na dobre, ale kotu by z pewnością zaszkodziło.
(Mark Twain)

Ludzka twarz handlu



str. 4

Gizela Różańska



str. 6-7

Dzień szpiku



str. 8



PRZETWÓRSTWO RYBNE "ŁOSOŚ" SP. Z O.O.
... konserwy rybne
to nasza specjalność ...

Gabinet Medycyny Estetycznej

dr Małgorzata Lewicka-Kisiel

BEZPŁATNA KONSULTACJA

Słupsk, ul. Kotarbińskiego 7/1

- BOTOX
- WYPEŁNIANIE ZMARSZCZEK
- MODELOWANIE UST I POLICZKÓW
- REWITALIZACJA DEKOLTU I DŁONI
- LIKWIDACJA NADPOTLIWOŚCI PACH

Zapraszamy panie i panów

www.botulinum.pl

Rejestracja: tel. kom. 505 905 196

Słupsk,
tel. 501 334 323



UWAGA kierowcy zawodowi

kwalifikacja wstępna
szkolenia okresowe

kat. B, B+E, C, C+E

www.naukajazdy.slupsk.pl



Adkonis

Ferma kur, gospodarstwo rolne

Sprzedaż jaj

Robert Adkonis, Kwakowo
tel. 59 846 25 11

ZAPRASZAMY



OKRĘGOWA STACJA KONTROLI POJAZDÓW

w Słupsku, ul. Portowa 10, tel. 59 811 48 73



rolety
okienne

Słupsk, ul. Tuwima 23, tel. 59 84 20 600, biuro@alko.com.pl

Łapaj złodzieja

Przepraszam za ton tego felietonu, ale tym razem nie mogłem powstrzymać emocji.

Premier Tusk zapowiedział, że winni zostaną ukarani. W domyśle chodziło mu zapewne o zawiadowcę i paru innych marnych kolejarzy. Wściekam się zawsze, choć wiem, że to nic nie da, jak widzę tych wszystkich notabli zjeżdżających się w miejsce różnych katastrof, jak sepy lub hieny do padliny.

Aby tylko przeszkodzić służbom ratunkowym, aby to oni – polityczni celebryci, byli najważniejsi w tej tragedii. Smutne miny, zatroskane oblicza, mądrze zmarszczone czoła, a w rzeczywistości za tymi maskami stoi brak kompetencji, puscie państwa, niekończące się szkodliwe i kosztowne reformy, pozbawianie ludzi poczucia bezpieczeństwa, tworzenie dla swoich marnych, biernych i wiernych – kosztownych synekur.

Przedsiębiorstwo PKP zostało podzielone na około 50. spółek. A każda spółka to prezes, to zarząd, to rada nadzorcza. A każdy prezes ważniejszy, a każda rada nadzorcza mądrzejsza. Istna wieża Babel. Tylko jak to mówi Ferdynand Kiepski: „pracować nie ma komu”.

Zupełna niewydolność inwestycyjna. PKP wykorzystuje, jak donoszą media, około 2,5% funduszy unijnych. Najlepiej wychodzi im likwidowane linii kolejowych i rozbieranie torów. W tym wyścigu na rozbieranie torów prześcignęli towarzyszy radzieckich, którzy w latach 40. rozebrali tory na Pomorzu by wyjąć je do nikłowania. Jeszcze nie wrócili.

Przypominam, że największe reformy na kolei robiły rządy Suchockiej, Buzka i ostatnio Tuska.

Dworce przypominają kiepskiej maści speluny, pociągi jak słynne sławki, tylko bardziej w nich cuchnie. Tury pamiętają często okres II Rzeczypospolitej albo III Rzeszy Niemieckiej. Zardzewiałe zwrotnice okresu uprzemysłowienia kraju za Bieruta.

O tym się nie mówi. A może trzeba zapytać panów rządzących, dlaczego przez 20 lat cofnięto w rozwoju naszą kolej o kilkadziesiąt lat? Gdy, tym czasem, cała Europa inwestuje w kolej. Gdzie wzrasta lawinowo ilość przewożonego ładunku. Gdzie inwestuje się w lokalne połączenia, wprowadza się szybką kolej itd., itp.

A u nas wszystko ma załatwić pan Bóg.

Prezydent ogłosił żałobę. Zapelnia się kościoły. Ludzie pogrążą się w modlitwie i jak za przyłożeniem czarodziejskiej różdżki, będzie dobrze. Następne zastępy polskich bohaterów zasilą niebo, a rząd będzie dalej usilnie pracował nad tym, aby nie były to ostatnie zastępy. W zapasie przecież są katastrofy samolotowe, autobusowe, powodzie, masowe zachorowania na nowotwory, zawały serca... gruzlica. A jak by wybuchła wojna, znajdzie się zapewne na podorędziu 6 mln. ofiar, bo najlepsza armia świata spieprzy do Rumuni na czele jakiegoś śmigłego generała, a rząd... najlepiej z Londynu będzie zagrzewał naród do walki przeciwko okupantowi i lewicy.



Dlatego zastanawiam się po co nam te wszystkie znicze, kiry, żale narodowe, obrządki pogrzebowo-katastroficzne. Po co te wszystkie sterowane przez rząd niekończące się celebry i czarne igrzyska?

Może w końcu rząd pomyślałby o tworzeniu warunków do powstawania miejsc pracy, może warto zacząć sprawiedliwie dzielić owoce pracy narodu. Może niedoinwestowana PKP, oświata, służba zdrowia, to nie zmartwienie obywateli, a właśnie rząd. Może 3 miliony młodych ludzi wygnanych z kraju za chlebem, to też zmartwienie rządu, może największa zachorowalność w Europie na choroby nowotworowe i układu krążenia to jest zadanie dla Tuska i jego żałobników.

Mógłbym te zadania mnożyć. Tylko po co. Na placu zna się każdy duren. A na to, aby być mądrym trzeba mieć – niestety, koncesję zwaną kompetencją.

A o to nie jest tak łatwo. Może dlatego Gowin ogłosił, że adwokatem, sędzią, stomatologiem, lekarzem... może być każdy kto chce? A w razie czego ogłosi się trzydniową żałobę.

Andrzej Obecný
obecný@poczta.onet.pl

Poeta wciąż oczekiwany

Współczesny świat niepomahomnie pędzi wciąż do przodu, pędzi w niewiadomym nam kierunku. Rozwój cywilizacyjny, technologiczny, informatyczny nie zmienia jednak ludzkich potrzeb, dążeń i oczekiwań w stosunku do własnego rozwoju uczuciowego i duchowego. Myślę, że współczesny człowiek jest spragniony tych bardziej estetycznych doznań niż innego rodzaju potrzeb. Jesteśmy w tym ponowoczesnym świecie uczuciowo i duchowo niespełnieni i nie-szczęśliwi. Jesteśmy „chorzy” na duchową pustkę i zapomnienie.

Niedawne wydarzenia związane ze śmiercią poetki i laureatki Nagrody Nobla Wisławy Szymborskiej ukazują nam, że osoby tworzące „piękne obrazy” poetyckiej rzeczywistości są społecznie bardzo potrzebni i wręcz niezbędni. Widać to było po niezliczonej rzece ludzkiego łłumu na pogrzebie poetki, noblistki, a przede wszystkim skromnego i cichego człowieka.

Współczesny człowiek, niezależnie od zajmowanej pozycji społecznej, stanu posiadania, wykształcenia odczuwa w sobie potrzebę, chociaż niekiedy sporadycznie, przebywania i obcowania ze słowem, które dostarcza niezapomniane wrażenia estetyczne i duchowe. Ubogaca nasze ubogie dusze. Niekiedy pozwala zatrzymać się na moment w tym donikąd biegnącym istnieniu. Pozwala na zajązrenie w głąb naszego wnętrza. Pozwala na refleksyjne przemyślenia i dostrzeżenie w sobie tych niezauważonych i zaniedbanych obszarów naszego człowieczeństwa. Ktoś może zarzucić mi to, iż nie jest to najistot-

niejszy element ludzkiego odczuwania i działania. Że są bardziej ważne i przyziemne kwestie, które bardziej absorbują współczesnego człowieka. Owszem są. Nie zaprzeczam i nie neguję tych spostrzeżeń. Jednak dla najmniejszego rozwoju ludzkiej osobowości, a przede wszystkim naszej wrażliwości na otaczającą nas rzeczywistość ziemską i społeczną, niezbędne jest „przebywanie” w tym, może i niemodnym i nierealnym, poetyckim świecie słowa pisanego. Jest to moja, indywidualna refleksja, z którą czytelnik może się nie zgodzić. Nie jest to istotne. Są to spostrzeżenia osobiste.

Od przeszło piętnastu lat uprawiam, dzisiaj niemodny zawód poetki. I po tylu już latach pisania jestem ogromnie wdzięczna przeznaczeniu czy też samemu Bogu, że obdarzył mnie tym darem. Tak, to jest dar. Dar niebanalny i niezwykły. Jednak wraz z tym darem zostałam również obdarowana moją specyficzną wrażliwością, która nie ułatwia mi istnienia w brutalnej, chamskiej rzeczywistości społecznej. Jestem jednak szczęściarzem. Mimo wszystko. Poprzez te moje nietuzinkowe możliwości mogę pokazać czytelnikowi mój wewnętrzny i bardzo osobisty świat, który jest naprawdę bogaty w najbarwniejszą paletę kolorów i odcieni przeżyć, doświadczeń i uczuć. Dzięki temu niezwyktemu darowi jestem w stanie „wyjść” na zewnątrz i ukazać ten mój nieznan świat osoby niepełnosprawnej w stopniu znaczącym od urodzenia. Gdyby nie ten dar, nikt nie byłby w stanie poznać tego mojego świata. Świata, który jest tak intry-



gujący i ciekawy, a zarazem tak inny i budzący wielkie obawy i kontrowersje. Mogę tworzyć a zarazem przebywać bez ograniczeń w tej poetyckiej rzeczywistości „pięknych obrazów” malowanych słowem. I mogę te „piękne obrazy” pisać a potem przekazywać osobom, które kocham. I widzieć ich uśmiech i łzy wzruszenia. To jest cudowne. Niepowtarzalne z niczym doświadczenie. Jedyne w swoim rodzaju.

My, ludzie pióra, poeci znani i nieznanzi, poprzez posiadanie tego niezwykłego daru, jesteśmy nawet i we współczesnym świecie bardzo potrzebni. Może bardziej niż przedtem. Pokazujemy inne spojrzenie na otaczającą nas rzeczywistość i uwrażliwiamy ludzi w sposób naturalny i rzeczywisty, nie powodując żadnych skutków ubocznych owej „terapii”.

Poezja jest wciąż nadal potrzebna człowiekowi. Widać to na pogrzebach znanych literatów i na spotkaniach poetyckich. Ludzie, oprócz rzeczy materialnych, potrzebują również pokarmu dla swoich dusz.

Bycie poetą zobowiązuje. Zobowiązuje na całe życie.

Agnieszka Dul

Pakt fiskalny

Na szczycie Unii Europejskiej w Brukseli 25. przywódców państw UE podpisało pakt fiskalny. Swoją podpis pod umową międzynarodową, która zwiększa dyscyplinę finansową we Wspólnocie złożył też premier Donald Tusk.

Pakt fiskalny zapewnia większą wiarygodność strefy euro i całej Unii Europejskiej. Pakt nie jest wyjściem z kryzysu, ale dyscyplinuje gospodarkę i politykę fiskalną UE. To zestaw przepisów i reguł, które powinny

uchronić strefę euro od kryzysowych zdarzeń, do których dochodziło w ostatnich latach.

Po raz pierwszy pomysł wprowadzenia paktu fiskalnego pojawił się na unijnym szczycie 8-9 grudnia 2011. Angela Merkel i Nicolas Sarkozy już wtedy próbowali przenieść zmiany w traktacie unijnym, które uchroniłyby Unię Europejską przed nową falą kryzysu gospodarczego.

Główne zapisy paktu fiskalnego to między innymi: wprowadzenie nowej złotej reguły wydatkowej, która ma zapobiec zadłużaniu państw euro w przyszłości.

Utrzymywanie przez państwa deficytu budżetowego poniżej 3 proc. PKB i długu publicznego poniżej 60 proc. PKB. Zostanie zwiększona kontrola Brukseli nad pilnowaniem dyscypliny finansowej, na kraje, które nie przestrzegają dyscypliny budżetowej mają być nakładane automatycznie kary, o wysokości kar do 0,1 proc. PKB kraju ma orzekać Trybunał Sprawiedliwości UE.

Jak stwierdził premier Donald Tusk podpisanie traktatu „jest jednym z kolejnych powodów, dla których podtrzymujemy, że w jakiejś perspektywie Polska stanie się członkiem strefy euro i wtedy będziemy pełnoprawnymi uczest-

nikami paktu fiskalnego i strefy euro – ze złymi i dobrymi tego skutkami”.

Polska już teraz spełnia fiskalne oczekiwania paktu jak np. konstytucyjny zapis ograniczający dług publiczny. Od momentu rozpoczęcia się kryzysu finansowego na świecie dług publiczny w Polsce rośnie dużo wolniej niż w innych państwach Unii Europejskiej. Wtedy kiedy wiele rządów decydowało się na „pompowanie” olbrzymich środków w gospodarkę swoich państw, nasz rząd podejmował decyzje o oszczędzaniu. Nie ma sensu dziś przypominać co mówili wtedy liderzy opozycji w naszym kraju, bo było to

przed wyborami, a oni dalej są w opozycji. Dziś jednak bardziej niż kiedykolwiek wcześniej widać, że życie na kredyt nie może trwać w nieskończoność. Więcej, na przykładzie Grecji widać jak się może skończyć.

Ci, którzy sprawują władzę, czy to na szczeblu krajowym, czy lokalnym muszą podejmować decyzje z myślą nie tylko o dniu dzisiejszym, ale o przyszłości. Trzeba mieć świadomość, że za zaciągnięte dziś zobowiązania, za nie rozwiązane problemy, płacić będą nasze dzieci i wnuki... Takiej wyobraźni przez wiele lat na naszym kontynencie, w kraju i w wielu samorządach brakowało....



Zbigniew Konwiński
Poseł na Sejm RP

Bajka o równych i równiarzach

W czasach bardzo zamierzających, kiedy za blondynkę na Wybrzeżu Kości Słoniowej trzeba dać było przynajmniej garść soli a robotny „czarnuch” był na wagę złota, bo w genialnej Ameryce, która nowożytnie niewolnictwo wymyśliła, dwie uncje tego kruszcu zapłacić za niego należało, obywatelskie prawa szanowano jednak i na czarnym ładzie i pod gwiazdystym sztandarem.

W Polsce, która szczyty się mianem rodzicielki europejskiej myśli konstytucyjnej, praw za to mamy coraz mniej. Zakazy i nakazy mnożą nam przeróżnej maści rządy. W naszym, wszak demokratycznym ponoć kraju, system zakazów i nakazów urosł już do absurdu. Kask musisz mieć na motorze, na nartach

i na rowerze, choć to tylko Twój durny łeb może w jakimś wypadku uciepować Zapięty pas bezpieczeństwa musisz mieć nawet w czterdziestoletniej syrence, choć nie ma to nic wspólnego z bezpieczeństwem innych użytkowników dróg i tylko twoja dupa w teoretycznej kolizji uciepować może.

Większość branz działalności gospodarczej wymaga pozwoleń, koncesji, uprawnień a inne objęte są monopolem państwowym. Zakazy i nakazy zastępują przykazywania religijne, a pokutę za grzechy wymierzają sądy. Na każde Twoje potknięcie, złamanie ustanowione przez policyjne państwo nakazu czy zakazu, czeka blisko dwadzieścia służb wszelkiej maści, które mają prawo zakuć Cię w kajdany i do jakiegos

Guantanamo, Czarnego, Wronka czy innego Orzysza ciupasem odstawić. Nawet Amerykanie nie mają takiej ilości agencji i służb wszelakich czyhających na Twoją głowę, jaką dysponuje demokratyczne przyjazne obywatelom państwo polskie.

Nie wszystkim jednak system nakazów i zakazów doskwiera jednak. Jak chłopcy radarowcy zatrzymali nocą jadącego na podwójnym gazie mojego znajomego Tomasza Ł. (dane wyłącznie do mojej wiadomości) to wyładował on od razu na twardym posłanku z desek a o jedenastej rano był już po randce z sędzią z Rejonowego, lżejszy o prawo jazdy i kilka tysięcy złotych. Jak w takich samych okolicznościach zatrzymano podchmielonego wójta ościennej gminy to nie dość, że nie został zatrzymany

to jeszcze i przesłuchać go nawet nie zdążono. W korespondencyjne podchody ze słupską policją od miesiaca zabawia się chojnicka Prokuratura Rejonowa. Wójtowi grozi za to przestępstwo kara do dwóch lat więzienia i pozbawienie stanowiska wójta. Tymczasem Prokuratura Rejonowa w Chojnicach nie zdążyła przez miesiąc postawić wójtowi nawet zarzutu, a wójt ze stanowiska rezygnować nie zamierza i organizuje sobie społeczną akcję poparcia. Jak znam życie to okaże się, że wójt jechał na bani w stanie wyższej konieczności, która to stanowi okoliczność wyłączającą bezprawność czynu zakazanego przez Kodeks Karny. Wiadomo, pan wójt jest równiejszy.

Równiejszy wobec prawa okazał się też niebezpieczny piroman Jacek T., o którym prasa donosi że jest synem znanego adwokata Michała Tomczaka, aresztowanego zresztą

w innej sprawie korupcyjnej. Ten porąbany recydywista bezkarnie od prawie roku podpala samochody warszawiaków a „Wysoka Sprawiedliwość” ani myśli procedurę ukrócić. Jak znam życie to pewnie skończy się miesięczną obserwacją psychiatryczną w Tworach albo innym bandziorz podpałi Sąd Najwyższy a może nawet Parlament. W pierwszej jednak kolejności postara się zapewne uczyszyć świadka incognito, którego nazwisko wylewny sąd przekazać mu raczył w uzasadnieniu odmowy zastosowania wobec niego aresztu śledczego. Może wtedy sąd pójdzie pod sąd.

Równość wobec prawa zapewne będziemy mogli zaobserwować również przez pryzmat wysokości odszkodowań i zadośćuczynień jakie otrzymają ofiary katastrofy kolejowej, która wydarzyła się w Szczeko-



cinach w dniu w którym piszę te słowa. Sądzić należy, że będą to kwoty nie mniejsze niż otrzymały rodziny ofiar katastrofy smoleńskiej, bo przecież ofiarami tej masakry byli ludzie z takiej samej krwi i takiej samej kości. Chyba że w samolocie byli równi a w pociągach równiarze.

Tadeusz Gawlik
tadgaw@wp.pl

Prozac albo kot

Kot - mówi się, że stworzony dla artystów, malarzy, pisarzy. Fakt, pomiędzy wielką literaturą a kotami od wieków istniała i nadal istnieje bliska zażyłość. Pisali o nich Alan Edgar Poe, Wisława Szymborska, Terry Prachett, Michał Bułhakow, Jerzy Pilch. Koty uwielbiali też ludzie filmu i muzyki: Federico Fellini, Tennessee Williams, Mozart i Freddie Mercury. Miłośnicy tych niezwykle tajemniczych zwierząt podkreślają, że to nie człowiek jest właścicielem czy panem kota, a na odwrót. To właśnie kot wybiera sobie człowieka i łaskawie pozwala się obsługiwać. Kocią naturą, budową i charakterem kota fascynował się Leonardo da Vinci, który pisał, że „nawet najmniejszy kto jest arcydziełem natury”. Filozof Albert Schweitzer: uważał, że istnieją dwa sposoby ucieczki od próżni życia: muzyka i koty. Dziś mówi się: Są dwie recepty na szczęśliwe życie: prozac lub kot. Francuski pisarz Theophile Gautier nazywał kota zwierzęciem filozoficznym, który choć chce być naszym przyjacielem, nigdy nie będzie naszym niewolnikiem.

Ale nie zawsze koty wzbudzały zachwyt.

W średniowieczu kot stał się postacią wielce podejrzaną. Według starożytnych opowieści rumuńscy czarownicy mieli zdolność przemieniania się w koty i wysysali ludziom dusze.

„Mężczyźni i psy nigdy nie rozumięją, co kobiety widzą w kotach.”
(autor anonimowy)

Kot chce być kotem

„Nienawidzę tych stworzeń (kotów), zbyt cichych i zbyt inteligentnych jak na mój gust; nie ma to jak tępa lojalność głupiego psa.” - pisze w swej książce „Królowa Południa” Arturo Pérez-Reverte. Tomasz Raczek uważa, że związek z kotem jest intelektualny, a psem - uczuciowy. Jerzy Pilch w książce „Bezpowrotnie utracona leworęczność” opisuje wyższość kota nad psem w taki oto sposób: Kot nieustannie poznaje i studiuję rzeczywistość, pies ją odczuwa. Kot jest panem, pies jest niewolnikiem(...). Kot ma pysk wredny, ale inteligentny, pies ma mordę pocziwą, ale debilną. Kot jest wymagającym partnerem człowieka, pies jest jego ślepym i podatnym na upokarzające tresury lokajem. Pies nie ma tożsamości, ponieważ pies nie tylko chce być z człowiekiem, pies chce być ściśle jak człowiek. Kotu tego rodzaju upokarzająca i utopijna metamorfoza nawet do głowy nie przyjdzie. Kot chce być kotem”.

„Posiadanie jednego kota prowadzi do posiadania następnego”
(Ernest Hemingway)

Arystokrata wśród zwierząt

„Tysiące lat temu czczono koty jak bogów.
One nigdy o tym nie zapomniały.”
(autor anonimowy)

Święty i grzeszny. Czczony niczym bóg i palony na stosie razem z czarownicami. Nieustannie wywołujący przeciwstawne uczucia. Fascynuje po dziś dzień. Inspiruje twórców i towarzyszy wielkim tego świata.



Koty i ich słynni właściciele

Dla artystów, pisarzy koty często były natchnieniem, inspiracją w pracy twórczej. Francesco Petrarca swego ulubionego kota, o którym mawiał jako o jedynym przyjacielu, kazał zabalsamować po śmierci. Arman Jean Richelieu nie zaczynał pracy, jeśli nie towarzyszył mu któryś z ulubionych kotów. W pracy twórczej koty towarzyszyły również Marcowi Twainowi i Alanowi Edgarowi Poe. Wielką miłość do kotów przejawiał Ernest Hemingway, który posiadał ich ponad 50. W wyniku krzyżowania między sobą blisko spokrewnionych kotów dochodziło do mutacji, zwanej polidaktylią czyli wielopalczastością. Pierwszy zmutowany kot miał 6 palców u jednej łapy.

Hemingway uważał, że wielopalczaste koty przynoszą szczęście dlatego też poszerzał ich grono o kolejne. W pewnym momencie było ich już tak dużo, że trudno było zapamiętać ich imiona.

Koty były też miłością Bogumila Hrabala. Pojawiają się na kartach niemal wszystkich jego dzieł. Miał ich aż 24. Latem pisarz mieszkał na wsi z kotami, zimą zaś codziennie rano przyjeżdżał z Pragi do Kerska, aby nakarmić swoje czworonożne mrucz-

ki i popracować przy biurku. Legenda głosi, że Dante Alighieri wręcz nie potrafił usiąść do pracy bez towarzysztwa dwóch ulubionych persów, które podobno nauczyły się przewracać strony w książkach i przynosić panu małe przedmioty. Kardynał Richelieu do tego stopnia kochał swoje koty (a miał ich 14), że w testamencie zapisał im sporą część majątku. Angielski pisarz Mark Twain posiadał dwa koty, które ochrzcił dość skomplikowanymi imionami: Appolinaris i Zo-roaster. Zapytany, skąd takie wymyślenia imiona, odpowiedział, że po to, by jego dzieci przyzwyczajały się do używania trudnych słów.

Jurij Gagarin dwa razy w tygodniu sprowadzał samolotem specjalną karmę z Paryża dla swojego ulubionego perska. Ulubionym pozwalał jeść przy stole.

Freddie Mercury często pokazywał się w kurtce z wizerunkiem wszystkich jego kotów. Miał kilkoro kocurów i jedną kotkę imieniem Delilah, której poświęcił nawet piosenkę na swej ostatniej płycie „Innuendo”.

Kot papieża Benedykta XVI Chico został narratorem biografii swojego pana - pióra Jeanie Perygo. Książka skierowana do dzieci opowiada o duchowym przywódcy katolików widzianym oczami kota.

„Kot nadaje domowi duszę.”
(Clebert)

Mruczek w Białym Domu

Siłabość do kotów mieli także prezydenci USA. Pierwszym kotem, który zamieszkał w Białym Domu był Tabby, kot syna Abrahama Lincolna. Posiadaczami kotów byli także największy miłośnik kotów wśród prezydentów USA - Theodore Roosevelt, Calvin Coolidge, Woodrow Wilson, John F. Kennedy, Jimmy Carter, Ronald Reagan, Bill Clinton oraz George W. Bush.

Każdy z ostatnich dziesięciu prezydentów USA miał co najmniej jednego kota, z czym J. Kennedy, Jimmy Carter, Ronald Reagan mieli po dwa koty, zaś Bill Clinton oraz G.W. Bush po trzy. Kot Theodora Roosevelta, Slipers często uczestniczył w konferencjach prasowych prezydenta. Kot Billa Clintona imieniem Socks był zaś ulubieńcem fotoreporterów i chyba najczęściej fotografowanym zwierzęciem na świecie szybko stając się kocim celebrytą. Historia Socksa przypomina bajkę o Kopciuszku.

Z rynszoka w Arkansas trafił do Białego Domu. Posiadał własną stronę internetową, otrzymywał tony korespondencji, oferty matrymonialne. Często figurował na pierwszych stronach najważniejszych dzienników, kartkach świątecznych Białego Domu, a także na znaczkach pocztowych. W 1993 r. Socks stał się bohaterem komiksu „Socks Goes to Washington: The Diary of America's First Cat” (Socks jedzie do Waszyngtonu: Dziennik Pierwszego Kota Ameryki”).

„Ludzie, którzy nienawidzą kotów, w swoim następnym życiu wrócą jako myszy”. -
(Faith Resnick)

Kot kontra reszta świata

Legenda głosi, że prorok Mahomet - którego nazywano ojcem kotów - nakazał obciąć kawałek swej szaty, aby nie obudzić smacznie na niej śpiącej kotki Muezi. Religia mahometańska nakazuje do dziś karmić swym wiernym przynajmniej jednego bezdomnego kota. Koty mają również swobodny dostęp do meczetów, a przeganianie ich stamtąd jest niedozwolone.

W Persji uważa się, że kot ma w sobie anioła, a jego skrzywdzenie przyniesie atakującemu karę. W Japonii do dziś kot jest popularną maskotką - amuletem przynoszącym szczęście. W buddyjskich klasztorach był wzorem godnym naśladowania. Mnisi czcili go do tego stopnia, że uznali kota za tymczasowe schronienie duszy ludzkiej.

W Ameryce Południowej kot był symbolem siły i bezpieczeństwa. W kalendarzu Inków kot uchodził za świętość, symbolizującą matkę Ziemi.

Niezależność, tajemniczość, duma, arystokratyczny dystans - to tylko niektóre cechy, które sprawiają, że koty nie przestają nas intrygować.

Tych, którzy ich nie lubią, być może przerasta koci indywidualizm i niechęć podporządkowywania się swojemu właścicielowi. Bez wątpienia trzeba posiadać kocią naturę, by docenić towarzystwo mruczka - arystokraty wśród zwierząt.

Magdalena Majchrzak



Dżins is not dead

Symbol Ameryki, ponadczasowy, uniwersalny, niezmiennie królujący na światowych wybiegach od ponad 50 lat. Stworzony na potrzeby włoskiej marynarki dziś stanowi nieodłączny atrybut naszej garderoby.

Krótką historią dżinsu

Pierwszą masową produkcję spodni dżinsowych rozpoczęto w Genui. Spodnie te miały służyć włoskim żeglarzom podczas dalekich morskich podróży. Dzięki wytrzymałości na warunki atmosferyczne szybko zyskały popularność. Z Genui materiał eksportowano do Anglii, skąd w XVII i XVIII w. importowali go amerykańscy osadnicy.

Prawdziwym rewolucjonistą na rynku odzieży dżinsowej był młody Bawarczyk Oskar Levi Stauss. Początkowo miał zamiar szyc namioty dla poszukiwaczy złota, jednak przedsiębiorczy Bawarczyk znalazł inny sposób wzbogacenia się. Postanowił żyć wytrzymałe spodnie dla kalifornijskich górników. Brązowe prototypy były bardzo wysokie w stanie, miały proste nogawki, a u dołu były zapinane na klamkę tak, aby mogły zmieścić się w kowbojskich butach. Wraz z upływem lat spodnie ewoluowały i zaczęły wyglądać i kolorem przypominać dzisiejsze modele. Zaś lotewski emigrant Jacob Davis wymyślił miedziane nity, wzmacniające miejsca w spodniach najbardziej narażone na rozdarcie. Davis chciał opatentować swój pomysł, ale nie miał pieniędzy, więc zaproponował Straussowi współpracę. W ten sposób powstały dżinsy ze słynnym podwójnym szwem i miedzianym wzmocnieniem.

W Ameryce, niczym grzyby po deszczu, zaczęły wyrastać nowe firmy produkujące dżinsy. Prym wiodła firma Lee produkująca spodnie na potrzeby uczestników rodeo. W 1935 roku w amerykańskim wydaniu magazynu Vogue pojawił się pierwszy kobiecy model takich spodni.

Przez cały okres międzywojenny jeansy były tylko ubiorem tzw. klasy robotniczej. Z biegiem lat dżinsy zmieniały nie tylko fason, ale zyskiwały nowe kolory i coraz oryginalniejsze aplikacje. Stają się symbolem Ameryki i wyzwolenia kobiet spod jeszcze niewygodnych zamazanych spódnic. Pierwsze damskie dżinsy zostały wyprodukowane w fabryce Levisa w 1935 roku.

Born in usa

Spodnie, które niegdyś służyły robotnikom, żołnierzom i żeglarzom za strój roboczy wkrótce szturmem opanowały świat mody. Lata 50. i 60. to triumfalne wejście tych spodni na salony. Dżinsy pojawiają się w filmach i są utożsamiane z buntem. Marlon Brando odziany w dżinsowe spodnie pojawia się w „Dzikim”. James Dean w „Buntowniku bez powodu”. Dean jest pierwszym na świecie aktorem, który popularyzuje parę dżinsów. W ultraobcisłych dżinsach tańczy Elvid Presley. Wkrótce stają się strojem pokoleniowym związanym z młodzieżową rewoltą lat 60., bezstroskim życiem „dzieci kwiatów”, łamiących konserwatywne normy. Pojawienie się damskich modeli spodni na ekranach kin ostatecznie złamało tabu i sprawiło, że zagościły one na dobre w garderobach pań. Kiedy film „Sklócenie z życiem” w 1962 r. wszedł na ekrany kin, kobiety na całym świecie,

dzięki Marilyn Monroe, zapragnęły zastąpić sukienkę dżinsami. Spodnie szybko stają się symbolem wolności, wyzwolenia oraz indywidualizmu.

Spodnie, które łączą pokolenia

W 1966 roku w amerykańskiej telewizji pojawia się pierwsza reklama dżinsów. Pięć lat później Andy Warhol projektuje okładkę Rolling Stones'ów w dżinsach z otwartym rozpięciem. Lata 70. to czas przeróżnych eksperymentów wizualnych dżinsów. Powstają w różnych kolorach, z rozmaitymi aplikacjami. Pojawiają się na wybiegach kreatorów mody. Stają się symbolem tego, co amerykańskie. Muzycy, aktorzy, hipisi - wszyscy noszą dżinsy. Rurki noszą muzycy grup punk rockowych, a Dabbie Harry, wokalistka nowofalowego zespołu Blondie, lansuje modę na dzwony i dopasowane dżinsowe koszule. Wraz z powstaniem w 1978 marki Diesel pojawiła się nowa jakość w świecie dżinsu. Renzo Russo oraz Adriano Goldschmid tworzą unikatowe fasony, wygodne modele niespotykane nigdy wcześniej. Lata osiemdziesiąte to okres dekatyzowanego dżinsu. Słynna aktorka, bohaterka „Aniołków Charliego”, Farrah Fawcett staje się ikoną dżinsowych spodni, aktorka lansuje modę na dopasowane w biodrach dzwony.

Calvin Klein do reklamy stworzonej przez siebie dżinsów zatrudnił Brooke Shields, informującą, że „nie ma nic pomiędzy mną a moimi Calvinami”. Od tej pory o dżinsach mówią wszyscy. Lata dziewięćdziesiąte to epoka stylu grunge. Kurt Cobain propaguje modę na wytarte dżinsy i kraciastą koszulę. Podarte, poszarpane dżinsowe spodnie są przedmiotem pożądania zbuntowanej młodzieży. Kate Moss popularyzuje modę na dżinsy rurki. Dopasowane obcisłe spodnie noszone w grungowym stylu to jej najbardziej charakterystyczny, niezmienny od 2004 roku "look". Moss to także prekursorka dżinsowych szortów.

Nieśmiertelny dżins

Levi Stauss dokonał rewolucji w świecie mody. Od wyprodukowania pierwszej pary dżinsów minęło niemal 150 lat, a one wciąż cieszą się niesłabnącą popularnością. Dziś dżinsy noszą wszyscy. Są uniwersalne i ponadczasowe. Doskonale modelują sylwetkę. Aktorka Cameron Diaz mówi o nich: „Mam szafę pełną ciuchów i nic do założenia. Więc noszę dżinsy.”

Co sezon dżinsy pojawiają się w nowych, ciekawych formach, zarówno na półkach małych sklepów jak i ekskluzywnych butików. Dziś bez skrupuła dżins gości na salonach i elitarnych galach. Gwiazdy zakładają dżinsy nawet na wyjątkowe okazje. O uniwersalności i nieśmiertelności tych spodni świadczą słowa wypowiedziane przez znanego projektanta mody Yves Saint Laurenta: „Jedynego, czego w życiu żałuję to tego, że nie wymyśliłem dżinsów”.

Magdalena Majchrzak



Historia

Gdy kilka lat temu otwierano z wielką pompą Centrum Handlowe Jantar wszyscy się dziwili: Po co w Słupsku dwa hipermarkety Real. Tłumaczono to na wiele sposobów. Jednym z nich, jak sobie przypominam, było to, że w Jantarze miał być hipermarket Geant. Ale w tym okresie Real przejął w Polsce sieć Geant i to co miało się nazywać Geant stało się Realem. A że firma Real dobrodziejstwo inwentarza przejęła z umowami i dotrzymuje słowa, to w Słupsku będą dwa Reale w odległości niedalekiej jeden od drugiego. Z czasem Real w Kobylnicy zostanie sprzedany lub wydzierżawiony, a w ogóle, to słupski Real osiąga najlepsze wyniki z wszystkich swoich sklepów w Polsce, właśnie w Słupsku, to i dwa nie będą za dużo.

Były to informacje dla ludu.

Władze Reala musiały wiedzieć, w mojej ocenie, co przyniesie przyszłość. Z co najmniej jednego powodu: Tak wielkie sieci nie planują przyszłość w ciemno. Mają badania, które pozwalają im z całą odpowiedzialnością podpisywać długoletnie umowy, ponosząc minimalne ryzyko.

Z Jantarem podpisali do 2018 roku, jak poinformowała prasa i przedstawiciele Jantara na konferencji prasowej w lutym.

Jantar

Centrum Handlowe Jantar jest największym obiektem handlowym w Słupsku i regionie środkowopomorskim. Spełnia nie tylko handlowe potrzeby społeczeństwa. Na przykładzie Jantara można mówić o najnowszych trendach, i to nie tylko w Polsce, ale na świecie, jakie obowiązują w dzisiejszym handlu.

Centra handlowe stają się ważnym elementem kulturotwórczym dla lokalnej społeczności. W wyścigu o klienta nie wystarczy go zachęcić tylko niską ceną produktu. Bo to robią wszyscy, chociażby kosztem jakości towarów lub co z tym jest związane narzucaniem niekorzystnych warunków producentom.

Dzisiaj handel wchodzi w sferę kultury, rozrywki, sportu, życia samorządowego, odpoczynku. Dzisiejsze centra stają się swoistą „Mekką”, do której pielgrzymują rodziny, w celu miłego i pożytecznego spędzania czasu. Pogranie w kręgle, obejrzenia filmu w Multikinie, posłuchania koncertu, zjedzenia obiadu i... przy okazji zrobienia zakupów.

Sam doświadczyłem tego na własnej skórze, jadąc ponad rok temu na urlop zatrzymałem się na weekend w łódzkiej „Manufakturze”. Na miejscu mieliśmy z żoną wszystko co potrzebne jest do wypoczynku z hotelem włącznie. Była kręgielnia, kino, znakomite kafejki i restauracje, basen, siłownia, masaże, kosmetyczki, fryzjerzy, imprezy towarzyszące - w naszym przypadku - ze znaną piosenkarką w roli głównej. Przy okazji zrobiliśmy sobie zakupy. Puściliśmy trochę pieniędzy, ale do dzisiaj wspominamy to jako mile spędzony czas.

Jantar idzie w tym kierunku.

Nie wiem jak jest to w „Manufakturze”, ale w Słupsku Centrum Handlowe Jantar oprócz tworzenia warunków do rozwoju kultury jest partnerem miejscowego samorządu. Partycypuje w sport kwalifikowany i amatorski, uczestniczy w budowie infrastruktury komunalnej (ulica Kołobrzaska), stara się uczestniczyć poprzez swoich pracowników w życiu lokalnym. Że przy okazji na parkingach wokół Centrum zawsze tłoczno - chwala im za to.

Konferencja

Gruchnęła wieść, że w Realu będą zwalniać pracowników. Chyba w tym samym dniu otrzymałem maila o konferencji prasowej.

Pojechałem.

Głównym bohaterem konferencji miał być pan Yann Guen, członek zarządu Mayland. Nie znam człowieka i pierwszy raz widziałem go na oczu. Była również przedstawicielka zarządu firmy z Warszawy i słupskie władze Jantara.

Za wysokie progi

W Słupsku, jednym z pierwszoplanowych tematów ostatnich tygodni, była sprawa zamknięcia hipermarketu Real w Centrum Handlowym Jantar. Jednych ta informacja zaskoczyła inni mądrze kiwali głowami, że było to do przewidzenia. Wolna konkurencja w handlu wymusza różne zachowania: jedni zdobywają rynki, drudzy w tym samym czasie bankrutują, trzeci prowadzą niezrozumiałą grę. Zawsze jednak za taką, czy inną przyczyną zachowań stoją pieniądze.

Osobiście negatywnie oceniam zachowanie decydentów Reala, a pozytywnie władz Mayland. I o tym będzie ten artykuł.



Przeproszono nas dziennikarzy, że pan Guen się spóźni, ale połączenia samolotowe z Francji nie zawsze można dopasować.

Czekaliśmy.

W międzyczasie myślałem o tym, że facetowi się chce lecieć taki kawał drogi, aby nas prowincjonalnych dziennikarzy poinformować o tym, o czym wszyscy wiedzą. Czyżby dla Mayland tak ważny był wizerunek. Jeżeli tak jest, to zahaczamy o coś bardzo rzadkiego w naszej rzeczywistości, o coś co jest swoistą „truflą”, o szacunek dla społeczności, o dobry wizerunek i...

W tym czasie wszedł Yann Guen. Przerwałem swoje dywagacje.

Mówił po francusku, pani tłumaczyła.

Dla mnie dwie sprawy były ważne.

Mayland martwi się o zwalnianych pracowników Reala. Czuje się odpowiedzialny za swoich dzierżawców. Tym razem „rydz” - również rzadki przypadek. Mówi, że chcą się włączyć do osłon dla zwalnianych pracowników. Los tych pracowników nie jest nam obojętny - mówi po francusku, a pani tłumaczy.

Nie wiem - gada, bo gada, czy rzeczywiście?

Ale następuje ciąg dalszy...

Ciąg dalszy

Nastąpił na meczu koszykówki Czarni - Turów Zgorzelec.

Wygraliśmy, co nie było takie pewne.

W przerwie rozmawiam ze Stanisławem Szukałą. To przewodniczący słupskiej „Solidarności”.

- Co tam słysząc i takie tam. Pytam co robią w sprawie zwalnianych pracowników Reala. Strajk poparcia, czy jakieś inne formy? A pan Stanisław mówi, że rozmawiali z przedstawicielami Mayland i oni obiecują pomoc. Jak to związkowiec jest nieufny. Na razie mówią, a potem zobaczymy.

Dla mnie ważne, że sami wystąpili z inicjatywą pomocy.

Czyżby kapitalizm z ludzką twarzą?

Dla mnie człowieka - dobrej myśli, jest to przykład zmian mentalnych i nie ważna jest przyczyna. Może być najbardziej prozaiczna.

Ale dla każdego człowieka najważniejszą rzeczą jest szacunek, godność, partnerstwo, zainteresowanie jego problemami żywymi.

Tym bardziej, gdy tym człowiekiem jest pracownik najemny, tak bardzo doświadczony zbawiennym systemem łaskawie nam panującym od 20. lat.

Epilog

Yann Guen mówił, że przyczyną wyjścia Reala z Jantara są za wysokie krawężniki po przebudowie.

Jaja sobie facet robi, czy co? - pomyślałem.

A on, chyba - po prostu użył metafory.

Chodziło o za wysokie progi.

Real nie zauważył, że czasy w handlu się zmieniają.

Po prostu za wysokie progi.

Za wysokie...

Andrzej Obecny
obecnypoczta.onet.pl

P.S. Zapewniam, że nie jest to tekst sponsorowany.

REKLAMA

USŁUGI DEKARSKIE

ul. Wierzbowa 3

Firma oferuje:

Pokrycia dachowe - kompletne

Rozbiórki azbestu z utylizacją

Inne roboty dekarские

tel. (059) 842 12 77

kom. 602 635 530



Wspomnienia Władysława Piotrowicza (5)

Sąsiedzi

Parę słów chciałem wspomnieć o naszych sąsiadach z ulicy Drahimskiej w Czaplunku, w okresie zamieszkiwania najpierw z rodzicami i rodzeństwem, a później tylko z mamą. Były to lata czterdzieste i pięćdziesiąte XX wieku. Trudny okres, w którym powojenna względna demokracja zamieniała się powoli w stalinowski totalitaryzm. Nie zmieniło to w mojej ocenie zwykłych ludzi, którzy dalej żyli w sąsiedzkiej komitywie.

Na ulicy Drahimskiej pojawili się po wojnie przybysze z różnych części przedwojennej Polski. Najwięcej, tak jak i Piotrowicze ze wschodu, z Kresów. Byli również i z Centralnej Polski, z lubelskiego, kieleckiego, z Wielkopolski.

Po wprowadzeniu się, szczególnie od razu po wojnie – jak opowiadała moja mama, Polakom przydzielano lokale, w których musieli mieszkać razem z Niemcami, do czasu ich wyjazdu do Niemiec.

Mieszkaliśmy na ulicy Drahimskiej pod nr 18.

Obok nas, po lewej stronie mieszkała rodzina Borowskich. Mieli małe dzieci, ale ja zapamiętałem tylko ich córkę Barbarę, która była moją rówieśniczką i koleżanką dzieciennych zabaw. Niewiele obrazków z tamtych lat pamiętam, jednak utkwiła mi w pamięci chwila, gdy letnim wieczorem, siedzieliśmy z Basią i Edkiem Karpowiczem w łódce na brzegu jeziora Drawsko.

Edek Karpowicz z rodzicami i siostrą mieszkali w budynku po prawej stronie naszego. Rodzina Karpowiczów, pochodziła ze wschodu, byli bardzo religijni. Edek Karpowicz od wczesnych lat służył do mszy jako ministrant. Był podobnie jak Basia w moim wieku. Zatem siłą rzeczy był moim pierwszym i najlepszym kolegą, z podwórka i z klasy. Dbał o mój wolny czas i zapraszał do grona ministrantów. Wieczorami i popołudniami chodziliśmy do naszego kościołka pw. Świętej Trójcy i służyliśmy księdzu Bernardowi Zawadzcie do mszy.

Często chodziliśmy na ryby. Ta smykałka wędkarska Edkowi została na zawsze, gdyż kiedyś widziałem jego zdjęcie w drugim tomie książki p.t. „Czaplinek 1945-2009”, na stronie 361 z okazałym, ważącym ponad 10 kg szczupakiem. Edek był właścicielem błysku „wielokrotnego użycia”, na który złapał niezliczoną ilość szczupaków. Na błysku tym było widać wiele wizerów pochodzących od zębów złowionych trofeów.

Edek miał powołanie. Po ukończeniu szkoły średniej zdawał do seminarium duchownego. Po latach spotkałem Edka w Czaplunku. Był nauczycielem w miejscowej szkole. Miał rodzinę, żonę i dzieci.

Ogrody Borowskich i Karpowiczów graniczyły z naszym. Na każdym były inne drzewa owocowe. Najlepsze jabłka były u Basi Borowskiej, u Edka Karpowicza gruszek, a u mnie śliwki i orzech łaskowe. Jesienią trwała wymiana towarowa owoców.

Po drugiej stronie ulicy za Karpowiczami w kierunku, czynnej wtedy kuźni mieszkała rodzina Niedzia-

nów, mieli piątkę dzieci: trzech chłopaków i dwie dziewczyny. Najstarszym – moim rówieśnikiem, był Witek, młodszy od niego był Janek, a najmłodszym Czesiu. Witek był również moim kolegą z klasy.

Pan Niedzian był ziomkiem mojego ojca, znali się jeszcze z przed wojny. Miał stolarnię, w której po lekcjach, pracowałem zbijając skrzynki na owoce. Oprócz zarobionych pieniędzy miałem możliwość, za każdym razem zabrania worka trocin do palenia w piecu. Była to duża pomoc dla naszego, skromnego, dwuosobowego domowego budżetu.

Witek Niedzian był bardzo sportowany, osiągał najlepsze wyniki sportowe w klasie.

Już jako dorosły człowiek posiadał firmę budowlaną. Kiedyś, gdy pracowałem w restauracji „Metro” odwiedził mnie w Słupsku. Spędzieliśmy wiele godzin na wspomnianiu wspólnych chwil z dzieciństwa, oczywiście opowiadając również o swoim dzisiejszym życiu, rodzinie i dzieciach.

Przed Niedzianami, bliżej nas, mieszkała rodzina pana Koguta. Miał on, podobnie jak my, sklep mięsny z wyrobami masarniczymi. Budynek i sklep pana Koguta istnieją do dzisiaj, jednak od wielu, wielu lat jest nieczynny. Przypomina muzealny obiekt z czasów tuż po wojnie.

Obok Kogutów, w naszą stronę, w budynku o nietypowej architekturze, z wieżami mieszkali Szymańscy, a obok nich Pawlakowie, a za Borowskimi, przy skrzyżowaniu mieszkali Słuzowscy, którzy w latach sześćdziesiątych, po zamieszkaniu mamy w Słupsku, przeprowadzili się do naszego mieszkania. Nie zajmowali go w całości, a tylko w części.

Najlepszym przyjacielem ojca był Antoni Tołłoczko. Pan Antoni i ojciec razem pracowali. Był on znany i cenionym człowiekiem w Czaplunku. Niestrudzonym pro-



Mój kolega szkolny Edek Karpowicz na rybach, na jeziorze Drawsko w Czaplunku.

pagatorem i animatorem sportów wodnych dla młodzieży.

Chciałbym poświęcić mu dzisiaj swoją gawędę.

Tyle pamiętam na temat naszych sąsiadów.

Chciałbym dwa zdania napisać o mojej siostrze Wioletcie i bracie Wiktorze. Od nich dowiedziałem się przy wspomnianiu dzieciństwa, że siostra pod koniec lat czterdziestych wyjechała do Krakowa do szkoły położnych. Gdy powróciła do Czaplunku, objęła Izbę Porodową. Od 1951 roku do czasu jej wyjazdu do Słupska w roku 1954 była jedyną akuszerką w Izbie Porodowej w Czaplunku. Także wszyscy nowo urodzeni Czaplinianie od roku 51 do 54 przechodzili przez ręce mojej siostry Wioletty.

Na pewno nie wszyscy z nich to pamiętają.

Brat był inspektorem sanitarnym, najbardziej zajmował się sprawami epidemiologicznymi. Rozwoził szczepionki po okolicy. Częściowo prowadził również kontrolę sanitarną żywności. Pobierał na miejscowym targu i woził wtedy próbki: masła, śmietany, miodu... do laboratorium w Słupsku. Poznał tam sekretarkę dyrektora panią Irenę, która została jego żoną. Po ślubie przeniósł się do pracy w Słupsku, tak jak wcześniej siostra.

W Czaplunku na ulicy Drahimskiej pozostaliśmy sami z mamą, zdani na własną inicjatywę, a głównie mamy. Brat od czasu do czasu przysyłał nam pieniądze.

Tak do roku 1960 biegło na we dwoje – mamie i mnie, życie w Czaplunku.

Władysław Piotrowicz
Fot. arch. W. Piotrowicza
Oprac. Andrzej Obecny



W dniu Wszystkich Świętych na cmentarzu w Czaplunku przy grobie mojego ojca Wincentego Piotrowicza. Rok 1961. Od prawej Marian Tołłoczko, brat Wiktor, mama Maria Piotrowicz, ja, moja siostra Weronika i jej córka Danusia.

Gawęda W. Piotrowicza (5)

Antoni Tołłoczko

Antoni Tołłoczko był przyjacielem rodziny. Odwiedzał ojca, ceniał bowiem jego rady. Uzgadniali plany budowy wędkarskich i żeglarskich łodzi, z których mój ojciec uwielbiał łowić ryby. Uwielbiał wypływać na jezioro i tam w samotności oddawać się swojej pasji – wędkarstwu. Te rozmowy o łodziach i żeglowaniu bardzo ich do siebie zbliżyły – mojego ojca i pana Antoniego.

Antoni Tołłoczko duszą i ciałem był wodniakiem, chociaż urodził się z dala od jezior, mórz i oceanów, bo w niewielkiej miejscowości o dźwięcznej nazwie Połupie w powiecie dwińskim na Łotwie w 1915 roku. Później już w niepodległej Polsce, po wojnie polsko-bolszewickiej rodzice przenieśli się do Wilna, a potem do nieodległego Landwarowa. Tam Antoś rozpoczął swoją edukację w szkole powszechnej. Tam w szkole dowiedział się, że na Ziemi są takie wielkie oceany i morza, przy których Polska Tomala lupina. Tak głęboko, w umyśle dorastającego chłopca utkwiła informacja o odległych krajach, kontynentach i oceanach, że nie myślał o niczym innym tylko o żeglowności – jak Kolumb do Indii, Ameryki, do ciepłych i odległych łądów.

Przyswajał sobie idee Ligi Morskiej i Kolonialnej, brał udział w obozach żeglarskich, na ochotnika zgłosił się do służby w marynarce Wojennej. Niestety zdrowie nie pozwoliło mu ziszczyć swoich marzeń i być wilkiem morskim.

Powojenne losy, po rocznej wędrówce po Polsce w poszukiwaniu swojego miejsca na Ziemi, zawiodły Go do Czaplunku, gdzie wody i jeziora mają przewagę nad lądem. To miejsce urzekło Go swoim pięknem. Tutaj pozostał, żył i umarł.

Gdy Go poznałem jawił mi się człowiekiem, który każde swoje myśli zaprzęgał sobie marzeniami o żeglowności. Z wiekiem dążenia nie słabły, a wręcz odwrotnie rozwijały się. Niespełnionym celem Jego życia był rejs po morzach

i oceanach dookoła świata. Zajmował się szkoleniem młodzieży i budową łodzi żeglownych. Ponieważ jezioro Drawsko jest jeziorem dużym i trudno byłoby go przepłynąć tylko przy pomocy wiosła, pomyślałem Tołłoczki, przy każdej łodzi rybackiej była możliwość postawienia żagli. Przy pomocy wiatru, którego na jeziorach nie brakowało, rybacy mogli penetrować dalsze łowiska, bez zbędnego męczenia się.

Współpraca ojca i Tołłoczki była harmonijna, pierwszy był organizatorem zaopatrzenia spożywczego dla żeglarskich załóg, drugi szykował łodzie do wypłynięcia.

Antoś – jak nazywali go moi rodzice był częstym gościem w naszym domu. Traktowali go jak członka rodziny. Po śmierci ojca często, a już obowiązkowo w dniu Wszystkich Świętych, pełnił przy jego grobie „służbę”. Zawsze idąc



Marian Tołłoczko opiekuje się Władem Piotrowiczem Czaplinek 1946 rok.

Moje smaki (5)

Placki ziemniaczane

W czasach mojego dzieciństwa i młodości placki ziemniaczane często gościły na naszym stole. Podobnie było i u sąsiadów. Nigdy nie przestałem lubić, ciepłych dobrze wysmażonych, przez mamę, placków ziemniaczanych. Dzisiaj, może nie są już tak popularne jak kiedyś. Konkurują w okresie letnim, w letniskowych jadłodajniach z hot dogami, pizzą, kebabem i kiełbasą z różną. Dobrze, że corocznie, jesienne, damnickie „Pokopki” chcą przywrócić plackom ziemniaczanym dawną świetność.

Składniki: na cztery porcje. 1 kg ziemniaków, 1-2 cebule, 2 łyżki pszennej mąki, 2 jajka, pieprz i sól, olej do smażenia.

Sposób przyrządzania: Obrać ziemniaki, opłukać i odsączyć. Zetrzeć na tarce. Zetrzeć cebulę na tarce. Zamiast tarkować można ziemniaki i cebulę przepuścić przez drobne sito maszynki do mięsa. Dodać do startych ziemniaków utartą cebulę i wbić dwa jajka. Dobrze wszystko wymieszać, dodać mąkę,

aby nadać masie odpowiednią konsystencję. Doprawić do smaku solą i pieprzem. Rozgrzać na patelni olej i nakładać masę drewnianą łyżką. Smażyć placki z obu stron na złoty brąz i od razu podawać. Można podawać placki posypane cukrem lub

w tym dniu na cmentarzu przy grobie ojca spotykaliśmy Antoniego Tołłoczkiego. Jakby tam cały czas był i modlił się za swojego przyjaciela.

Wspominam go jako niezwykle go człowieka, o gorącym sercu, może dlatego zapamiętałem Go takim, ponieważ zawsze był lekko ubrany, mimo chłodu, a nie raz mrozu, był bez czapki, w cienkim płaszczku.

Dobrze pływał, podziwiałem zawsze pana Antoniego i zazdrościłem Mu, że potrafił na wyspę Bielawę, na jeziorze Drawsko przepłynąć wpraw, choć to była wielka odległość. Antoni Tołłoczko, to była czaplinecka legenda i takim pozostał w pamięci osób, które go znały i pamiętają.

Był autorytetem w dziedzinie żeglarstwa, ale nie tylko w sprawie żeglowania, również budowy łodzi, stawiania żagli, uszczelniania jachtów, ogólnie mówiąc sztuki szkunerkiej i żeglarskiej.

Przy tych wszystkich swoich dokonaniach i zasługach dla lokalnej społeczności, był autentycznie skromnym i jakby nieświadomy swojej lokalnej wielkości.

Nigdy oficjalnie nie został doceniany, medalem, nagrodą, wyróżnieniem.

Władysław Piotrowicz
Fot. arch. W. Piotrowicza
Oprac. Andrzej Obecny



Niemka, która stała się Polką

Historia, którą opiszę zaczęła się, jak to zwykle bywa – banalnie. Zakończyła się sensacyjnie, w moim pojęciu nawet bardzo sensacyjnie i nadszpiewanie ciekawie. W dniu 27 lipca 2011 roku otrzymałem maila zaczynające się jak wiele innych, które przychodzą do mnie pracownika Izby Pamięci Słupszczyzan.



Gizela Daske. Druga połowa lat czterdziestych.

dził się w 1900 roku i miał brata bliźniaka Wilhelma (jego rodzina żyje w Niemczech – Wilhelm przeżył wojnę). Frieda Daske pochodziła z dzisiejszej Piły (Pila, niem. Schneidemühl) niestety nie znamy roku urodzenia babci.

Skonfrontowałem otrzymane informacje na temat Friedy Daske i odpisałem: Pani Ewo, oto uzyskane z akt dane o pani babci: Frieda Anna Daske urodziła się 12 lutego 1898 roku w rodzinie robotnika Alberta Pillascha i jego żony Marty (nieczytelne) z domu Meissner. Na pewno nie przyszła na świat w Pile (niem. Schneidemühl) jak pani twierdzi, gdyż w księdze zgonów z 1939 nr 474 roku podana jest miejscowość Lanenburg(?). Jednak nie mam pewności, że została przeze mnie prawidłowo odczytana, mimo lupy, z niewyraźnego, odręcznego pisma.

Niestety miejsca pochówku nie udało mi się zlokalizować, gdyż nie dotarłem do ksiąg cmentarnych.

Rozmowy telefoniczne

W mailu podałem swój numer telefonu. Nie czekałem długo. Pani Ewa zadzwoniła.

Rozmowa pierwsza

- Serdecznie dziękuję panu za te dane. - usłyszałem w słuchawce głos pani Ewy. - Pani mama nosi polskie nazwisko, jak to się stało? - zapytałem. - Mama zachorowała na tyfus i została w rosyjskim szpitalu. W tym czasie jej cała rodzina została wywieziona do Niemiec. - mówiła córka Gizeli. Mamę, po wyjściu ze szpitala przyczekała polska rodzina. Pozostała w Polsce, poznała swojego ojca, pobrali się.

- Chętnie poznam biografię pani mamy, może mi opowie? - zapytałem.

- Mama, niedawno zmarła...

- To, to... może spotkamy się, pani przgotuje... jakieś zdjęcia mamy i opowie mi... pani jej życie. - zacinając się i cedząc słowa kontynuowałem.

- Dobrze, ale wyjeżdżam teraz na tydzień, do Krynicy Morskiej, to po przyjeździe przeszukam szpargały mamy i do pana zadzwonię. - zaproponowała.

- Będę czekał z niecierpliwością.

Rozmowa druga

Po tygodniu pani Ewa zadzwoniła:

- Panie Andrzeju w książkach po mamie znalazłem stary zeszyt mamy. Jest zapisany niezgrabnym pismem, po niemiecku. Wydaje mi się, że jest to pamiętnik. Oczywiście posiadamy również wiele zdjęć sprzed wojny i z czasów wojennych.

- To wspaniale. - krzyknąłem do słuchawki. Czy może go pani zeskanować i przysłać?

- Postaram się. - odpowiedziała pani Ewa.

Za kilka dni przysły skany stron zapisanych przez 15-letnią wtedy niemiecką dziewczynę Gisela Daske w marcu, kwietniu i maju 1945 roku. Pamiętnik jak najszybciej oddałem w ręce pani Ilony Zwierz. Po pewnym czasie, pani Ilona oddała mi tłumaczenie na język polski.

- Było strasznie trudno, ale chyba sobie poradziłam. - powiedziała.

Pojechałem szybko do domu i zacząłem czytać:

Pamiętnik Giseli Daske

Przedstawiam tłumaczenie, bez wyśnięć, jedynie z poprawieniem ewidentnych błędów logicznych, których nie uniknęła Gisela.

do Słupska (Stolp) i tam nocowaliśmy w dużym domu.

Czwartek, 22 marzec 1945, i piątek 23 marzec 1945, Pozostaliśmy w tym domu.

Sobota, 24 marzec 1945, Z tego domu przeszliśmy do więzienia.

Niedziela, 25 marzec 1945, Frank trafił do więziennej izolacji dla chorych.

Poniedziałek, 26 marzec, wtorek 27 marzec, środa 28 marzec 1945, byliśmy jeszcze w różnych pokojach.

Czwartek, 29 marzec 1945, Przeszliśmy z więzienia do magazynu 2 w Słupsku (Stolp). Tam byliśmy w **piątek 30 marzec, i sobotę 31 marzec 1945.**

Niedziela, 1 kwietnia 1945, był to pierwszy dzień Świąt Wielkanocnych.

Poniedziałek, 2 kwietnia 1945, drugi dzień Świąt Wielkanocnych.

Wtorek, 03 kwietnia 1945.

Środa, 04 kwietnia 1945, jeszcze do wieczora byliśmy w magazynie 2. Wczorajem przeszliśmy do kościoła katolickiego, gdzie przenocowaliśmy.

Czwartek, 05 kwietnia 1945, przeszliśmy z kościoła na dworzec kolejowy w Słupsku (Stolp), gdzie załadowano nas po 60 dziewczyn i kobiet do byłych wagonów. Tam na słupskim dworcu jeździliśmy nocą w te i z powrotem.

Piątek, 06 kwietnia 1945, Rano wyjechaliśmy ze Słupska w kierunku Szczecinka (Neu Stettin)

(?) Jechaliśmy trasą kolejową z Człuchowa (Schlochau) w kierunku Bydgoszczy (Bromberg).

Sobota, 8 kwietnia 1945, jechaliśmy trasą na Bydgoszcz (Bromberg) i dojechaliśmy do Torunia (Thorn).

W **poniedziałek** dotarliśmy na dworzec w Toruniu (Thorn). W nocy z **poniedziałku na wtorek** wyjechaliśmy z toruńskiego dworca i jechaliśmy przez most na Wiśle, który Niemcy wysadzili a Rosjanie na nowo zbudowali. Za Wisłą, gdzie stanęliśmy, widzieliśmy wiele pracujących kobiet. Następnie pojechaliśmy dalej a dzisiaj we **wtorek 10 kwietnia 1945** stoimy na dworcu. W tej chwili jesteśmy na dworcu: Besslershausen.(???)

Środa 11 kwietnia 1945 Stoimy rano na dworcu w (?)

Po 8. dniach dostaliśmy na dworcu w Grudziądzu (Graudenz) fantastycznie gorącą kartoflanke. Dzisiaj jest najpiękniejszy dzień dla tych co nie mają czapek, w promieniach słońca jest tak gorąco jak latem. Wieczorem 11 kwietnia wyładowano nas z wagonu a następnie trafiliśmy wszyscy do dużego domu w Grudziądzu (Graudenz). Prawdopodobnie była tam kiedyś szkoła.

Czwartek, 12 kwietnia 1945, Ciągłe jeszcze jesteśmy w tym samym obrzydliwym pomieszczeniu. Nie ma tutaj już ani drzwi ani okien.

W piątek, 13 kwietnia i w sobotę 14 kwietnia jeszcze ciągle tam byliśmy, ugotowaliśmy sobie (?)

Niedziela, 15 kwietnia 1945.

Poniedziałek, 16 kwietnia 1945.

Wtorek, 17 kwietnia 1945.

Środa, 18 kwietnia 1945.

Czwartek, 19 kwietnia 1945, +

W **środe** Gizele i mnie wezwano, a mianowicie wywołano nas po nazwisku nas i przydzielono do brygady. Wieczorem wysłano Gizele na dworzec do pracy.

W **piątek 20 kwietnia 1945,** wezwano nas ponownie i przeniesiono z góry na dół do małego ciepłego pokoju.

W **sobotę, 21 kwietnia 1945,** jeszcze raz mnie przesłuchano i znów przydzielono do brygady pracy.

Niedziela, 22 kwietnia 1945, Jeszcze ciągle byliśmy w tym samym miejscu.

Poniedziałek, 23 kwietnia 1945.

Wtorek, 24 kwietnia 1945.

Środa, 25 kwietnia 1945.

Czwartek, 26 kwietnia 1945.

Piątek, 27 kwietnia 1945.

W nocy z **wtorku na środę** wróciłam do domu do obozu o 24.30 +

Sześć dni byłam u komendanta a dwa dni byłam w innym wagonie wraz z dwoma niemieckimi mężczyznami. Drugiego dnia wróciłam do domu - do obozu.

Piątek, 27 kwietnia 1945, - Jeszcze tam byliśmy jeszcze.

Sobota, 28 kwietnia 1945.

Niedziela 29 kwietnia 1945 - Wezwano nas. Wszyscy otrzymaliśmy po pół chleba. (?)

Następnie wyruszyliśmy w większych grupach wzdłuż torów kolejowych do Laskowic. Trasę z Grudziądza (Graudenz) do Laskowic pokonał w ciągu jednego dnia. Nocowaliśmy w poczekalni dworcowej w miejscowości przed Laskowicami.

Poniedziałek, 30 kwietnia 1945, - Maszerowaliśmy z tej miejscowości do miasta Laskowice. Po dotarciu na dworzec zostaliśmy tam czekając na pociąg, który miał nadjechać w najbliższym czasie.

Wtorek 01 maja 1945, - Wedrowaliśmy z Laskowic na dworzec do jakiejś innej miejscowości. Stamtąd pojechałam ja oraz wiele innych dziewczyn pociągiem na inny dworzec, gdzie dużo dziewczyn wysiadło a ja zostałam sama w wagonie. Po tem pojechałam dalej do Żukowa (Zuckau) powiat Kartuszy.

Środa 02 maja 1945, - Sierżant zaprowadził mnie w Żukowie (Zuckau) do polskiej rodziny. Byli to dobrzy ludzie. Pomagałam im obierać kartofle. Potem bardzo zachorowałam i trafiłam do innej rodziny. Gdy byłam chora badała mnie dwóch rosyjskich lekarzy, a następnego dnia zawieziono mnie do szpitala do Gdańska.

Tam zbadano mnie ponownie i stwierdzono, że mam tyfus.. Obecnie leżę już prawie pięć tygodni w szpitalu. Mam nadzieję, że **23 czerwca 1945** wyjdę ze szpitala.

Niedziela 23 czerwca 1945, Zwolniono mnie ze szpitala i zostałam do **30 czerwca 1945,** u kobiety, którą da się zaakceptować.

(?)

Z Gdańska Wrzeszcza (Danzig Langfuhr) posłałam pieszo do Rębowa (Rambau) stamtąd sympatyczny Polak podwiózł mnie wozem z koniem do Żukowa.



Gizela Różańska z synem Leszkiem na wycieczce w zoo. Poznań 1954 rok.

Pochowani zostali w Słupsku w dn. 17.02.2012 do 01.03.2012 r.

Antosiak Sylwia
Bonio Leokadia
Borucki Władysław
Brysiak Wanda
Buzalski Ryszard
Czajka Adam
Danielek Rozalia
Dąbrowska Genowefa
Durajczyk Tadeusz
Dyrmo Helena
Dzięciolowska Henryka
Foryszewski Tadeusz
Głuszek Danuta
Hajdukiewicz Maria
Haręziak Regina

Jabłońska Krystyna
Kalista Edward
Kaluźna Elżbieta
Kowalski Bogdan
Kozak Barbara
Krajewska Władysława
Kupicz Eugeniusz
Lewandowska Irena
Lewandowski Jerzy
Łachowski Stanisław
Maltseva Leokadia
Mazur Mariola
Muczek Barbara
Pająk Bronisław
Piwowarska Wanda

Skuza Wanda
Sperka Lesław
Suproniuk Krystyna
Szwarc Elżbieta
Szyszko Tadeusz
Tkaczuk Jan
Uścińowicz Lucyna
Wierzchnicki Edward
Wiszowaty Franciszek
Witkowska Melania
Wojtczak Mirosław
Wyreblewski Kazimierz
Zakrzewski Juliusz
Zygowski Józef
Zmijewska Cecylia

wa (Zuckau) Dotarłam tam w niedzielę a wszyscy byli bardzo zaskoczeni. Jestem tu już od kilku miesięcy, nawet się tutaj już żyłam, a co najważniejsze mam już swój wspólny pokój i posiadam też parę rzeczy, nawet jeśli nie są one takie jakie kiedyś sobie życzyłam...

W domu u pani Ewy

Niezwłocznie przesłałam pani Ewie tłumaczenie. Umówiliśmy się na spotkanie, u niej w domu w Koziegłowach pod Poznaniem.

Czekali na mnie pani Ewa Augustyniak i jej brat Leszek Różański.

Gizela Helga Różańska z d. Daske

Nasza mama Gizela - zaczął syn, pan Leszek Różański, urodziła się w Słupsku 4 czerwca 1930 roku. Potem, dzieci Gizeli, Ewa i Leszek, na zmianę opowiadały o życiu swojej matki.

Gizela urodziła się w rodzinie Augusta Daske i jego żony Friedy z domu Pillasch. Rodzice Gizeli przybyli do Stolpu z Piły. August był robotnikiem, a babcia Fryda zajmowała się domem i wychowywaniem dzieci. Była chorowita, w dniu 13 lipca 1939 roku zmarła i została pochowana na słupskim cmentarzu. Mama miała starszego brata Heinza, który urodził się w 1923 roku.

Gizela do wybuchu II wojny światowej chodziła do szkoły podstawowej, przy dzisiejszej ulicy Henryka Pobożnego. W czasie wojny była uczennicą szkoły we Wrześni.

Półtora miesiąca od śmierci matki Frydy wybuchła wojna. Ojciec i brat Gizeli zostali, we wrześniu 1939 roku, wcieleni do Wehrmachtu. Dziewięcioletnia Gizela zamieszkała we Wrześni koło Słupska, u swojego stryja Alberta i ciotki Magdaleny, która zaopiekowała się uczennicą trzeciej klasy szkoły podstawowej. Albert Daske stryj Gizeli posiadał gospodarstwo rolne oraz równolegle pełnił funkcję miejscowego wójta. Albert Daske miał syna Alberta.

Zimą 1943 roku ojciec Gizeli August Daske zginął niedaleko Stalingradu. Rodzina wraz z powiadomieniem o śmierci otrzymała zdjęcia z ceremonii pogrzebowej. Zginął również brat Gizeli Heinz, który tuż przed śmiercią był na urlopie i odwiedził siostrę we Wrześni. Na jego cześć odbyło się wielkie świnobicie. Rodzina nigdy nie dowiedziała się kiedy i gdzie poległ niespełna dwudziestoletni Heinz Daske. Nie było informacji o stryju Gizeli Albercie Dasce.

Gizela została na świecie sama.

Pozostali jej tylko kuzyn Albert i ciotka Magdalena oraz zamieszkała w Słupsku rodzina od strony matki Frydy, z którą nie utrzymywała bliższego kontaktu.



Od lewej Marian Różański, mąż Gizeli, Gizela Różańska, Inge Daske, żona kuzyna Alberta, Magdalena Daske, matka kuzyna Alberta, Albert Daske, stryj Gizeli. Dziecko z przodu Birgid Daske córka Alberta s. Alberta i Inge. Zdjęcie robił kuzyn Gizeli Albert Daske. Parchim (dawne NRD), rok 1958.

Gizela Daske całą wojnę - do marca 1945 roku, spędziła u ciotki we Wrześni.

8 marca 1945 roku do Wrześni wkroczyli Rosjanie. Wtedy dla Gizeli zaczęła się dopiero wojna. Do tej pory nie odczuwała wojennych niedogodności.

Miała 15 lat gdy rozpoczęła swój trzymiesięczny exodus, zakończony w Żukowie koło Kartuz.

Poznała inny świat, zobaczyła, że oprócz Niemców są jeszcze inni ludzie, o innej kulturze, religii... Gizela była ewangeliczką. Później uczęszczała z mężem do kościoła rzymskokatolickiego, ale często opowiadała swoim dzieciom o zasadach obowiązujących w ewangelikach, stawiając je w lepszym świetle niż w kościele katolickim. Z Żukowa zapamiętała procesję Bożego Ciała z 30 maja 1945 roku. Zafascynował ją kolorowy i rozmodlony korowód ludzi pielgrzymujących od ołtarza do ołtarza.

Służąca

Po wyjściu ze szpitala Gizela Daske koniecznie chciała wrócić do Żukowa, zapewne do polskiej rodziny, u której było jej dobrze. Była sierotą, nie miała gdzie się podziąć, jedyne znane jej miejsce, gdzie czuła się bezpiecznie znajdowało się w Żukowie u pierwszej polskiej rodziny, gdzie była.

Po dotarciu do celu, a było to zapewne 30 czerwca 1945 roku, przy jednym z obejść, za płotem zauważyła kobietę. Była to Polka pani Trepczyk. Poprosiła ją po niemiecku o chleb, mówiła, że jest głodna.

W tamtym okresie - jak opowiadała swoim dzieciom, była drobną dziewczynką, o dziecięcym wyglądzie, czesała się w dwa małe warkoczki.

To zmiękczyło serce kobiety, matki... Nie rozumiała co to głodne dziecko do niej mówi. Zawołała męża, władającego językiem niemieckim.

Po przetłumaczeniu prośby Gizeli o jedzenie, pani Trepczyk nakarmiła dziewczynkę. W tym czasie Gizela opowiedziała o swoim losie i o tym, że właściwie nie ma gdzie pójść.

- Możesz u nas pozostać, będziesz mi pomagała. Jest jednak jeden warunek: musisz nauczyć się mówić po polsku. - zadecydowała pani Trepczyk.

Gizela spełniła postawiony jej warunek. Nadzwyczaj szybko nauczyła się mówić po polsku.

U Trepczyków było jej bardzo dobrze. Nie była głodna, miała swoje miejsce do spania.

- To była bardzo dobra rodzina, - często mówiła, dzięki nim przeżyłam, traktowali mnie jak trzecią córkę. Zawsze dobrze wspominała tamte chwile. Z nimi i ich dwoma córkami Gizela przez wiele lat utrzymywała kontakt.

U Trepczyków w Żukowie Gizela mieszkała cztery lata.

Gdy skończyła 18 lat Trepczykowie załatwili jej polski dowód osobisty. Formalnie przestała być Niemką, a stała się Polką. Wcześniej szukała informacji o swoich krewnych, ale nie było żadnego odzewu. Miała świadomość swojego zupełnego sieroctwa.

W międzyczasie dostała pracę w zakładzie fryzjerskim w Gdyni jako sprzątaczką. Do pracy dojeżdżała z Żukowa. W nowej pracy była traktowana, bardzo źle. Wykorzystywano jej bezbronność i oszukiwano na płacy. Właścicielka zakładu, nie wywiązywała się z ustnej umowy o warunkach placowych, kazała pracować ponad siły, a praktycznie nie płaćła Gizeli.

Gdy upomniła się o swoje pieniądze, pracodawczyni zrobiła jej wielką awanturę. Ale zapewne obawiając się, że jej nierzetelność może ujrzyć światło dzienne, zaproponowała pracę u swoich krewnych w Żabikowie pod Poznaniem.

Gizela wyraziła zgodę, nie chciała być ciężarem dla Trepczyków.

W ten sposób znalazła się w Żabikowie koło Poznania u pana Więckowskiego, u którego miała być służącą. Można sparafrazować, że trafiła „z deszczu pod rybnę”. Więckowski okazał się paskudnym człowiekiem, traktował ją jak niewolnicę, bił, stosował terror psychiczny. Tam przeżyła dwuletni okres upokorzenia i pracy ponad kobiece siły.

Miłość

Nie miała zbyt wielu chwil dla siebie. Pewnego popołudnia wybrała się na wiejską zabawę. Tam poznała Marianę Różańską z pobliskiego Fabianowa. To była przysłowiowa miłość od pierwszego wejrzenia. Młody mężczyzna, upatrzył sobie od razu, drobną szczupłą, jakby zdezorientowaną dziewczynkę, ot takiego zagubionego i przestraszonego Kopciuszka.

Przetkańczyli z sobą całą zabawę. Podczas tańca najpierw milczeli, a później opowiadali o sobie. Gizela, w męskich ramionach, poczuła zadziwiające bezpieczeństwo i bratnią duszę. Nie myliła się. Opowiedziała i wyrzuciła z siebie swoje całe sieroce życie i swoją krzywdę. Zataiła tylko to, że Więckowski ją bije.

Marian, również był pewny...ta, albo żadna inna.

Zaczęli się spotykać. Liczne sińce na rękach ukochanej zaczęły zwracać uwagę narzeczonego. Gdy opowiedziała mu o przyczynie, zagrała w nim słowiańska krew i polska porywczność w dobrym tego słowa znaczeniu.

Pierwsze co zrobił, ale z pewną niepewnością, to o wszystkim tym, a przede wszystkim o swojej znajomości z Gizelą opowiedział domownikom. Po jego opowiadaniu zaległa cisza.



Gizela Różańska z kuzynem Albertem Daske. Poznań 1973 rok.

Pierwszy, jak to w rodzinie wielopokoleniowej, odezwał się Józef Różański ojciec Mariana i tonem nie znośnym sprzeciwu powiedział:

- Zabieraj tę sierotę od Więckowskiego i niech zamieszka z nami. Nie pozwól aby ktokolwiek ją jeszcze w życiu krzywdził!

Jakoś nikt nie protestował, wszyscy milcząco aprobowali decyzję seniora. A mogliby. Józef Różański całą wojnę spędził w obozach koncentracyjnych, Oświęcimiu, Dachau, innych. Ile sam doznał krzywd i upokorzeń, męczarni i lęku od niemieckich nazistów - nie sposób wyliczyć.

A może właśnie dlatego aprobowali decyzję zwykłego prostego człowieka, wtedy emerytowanego, przedwojennego kolejarza, Polaka, głęboko wierzącego w Boga.

Józef Różański do obozu trafił w wyniku donosu innego Polaka, winą był „mały sabotaż” transportów niemieckich, przyczyną donosu „nagroda” okupanta dla donosiela. W Oświęcimiu miał nr 14707. Do domu w Fabianowie, po kuracji w amerykańskim szpitalu, wrócił dopiero w 1946 roku.

Gizela nazajutrz stała się domownikiem w rodzinie Różańskich.

Znalazła swój dom na całe życie.

Ślub

Marian na narzeczoną czekał jeszcze kilka lat. Bo dostał powołanie do służby wojskowej, do marynarki wojennej do Ustki. Przez trzy lata, żył i służył na rodzinnej ziemi Gizeli. Narzeczoną nigdy nie odwiedził narzeczonego w jednostce. W Słupsku po wojnie była tylko raz, z synem Leszkiem, ale mimo wyteżania pamięci nie mogła sobie nic przypomnieć. Przemierzała słupskie ulice, była na cmentarzu, ale to było dla niej inne miasto. Nie odnalazła śladów swojego dzieciństwa i grobu swojej matki Frydy.

W 1953 roku, gdy Marian jeszcze służył w marynarce, odbył się ślub Mariana i Gizeli. Najpierw cywilny. Kościelny po latach, bo... Gizela nie miała... właściwego wyznania... czyli jak oficjalnie informowano w parafii wszystkich potrzebnych nauk.

Świadkami w USC byli Zenon Różański brat ojca Mariana i Marian Szaj krewny od strony matki pana młodego, przyszłej teściowej Gizeli.

Zapewne nie przypuszczała nigdy, że biała suknia i paniński welon wyznaczy jej nowe miejsce na ziemi, ziemi poznańskiej, jak najbardziej polskiej - piastowskiej.

Z tej miłości urodziło się troje dzieci. Pierwszym był syn Leszek, drugim Jan, który zmarł po porodzie, trzecim dzieckiem była córka Ewa.

Tęsknota

Gizela tęskniła za swoimi krewnymi. Gdy opuszczała Słupsk, żyła przecież

ciotka Magdalena Daske i jej syn, a kuzyn Gizeli Albert.

Rozterki Gizeli zauważył teść Józef. - Szukaj Gabrysia swoich, bo nazywał ją Gabrysia. To twoja krew. Musisz ich odnaleźć, musi ktoś z nich żyć, to niemożliwe aby wszyscy poumierali. Musisz wierzyć w to, że gdzieś są. Na pewno ich znajdziesz.

Gizela postanowiła skorzystać z rady teścia i zdobyć informacje o losie ciotki i kuzyna.

Teść pomagał jej jak mógł. Jeździł z nią do konsulatu niemieckiego do Wrocławia. Pisał wspólnie z Gizelą listy do różnych instytucji.

Pomocnym, po wielu próbach, okazał się Czerwony Krzyż.

Był rok 1958.

Odnalazł się kuzyn Albert Daske, ciotka Magdalena i stryj Albert, który przeżył wojnę.

Przeżyła euforię.

Dostała zgodę na wyjazd do Niemiec, do NRD, do miejscowości Parchim, koło Schwerina. Z synową pojechała, jako tłumacz teść, bo Gizela... zapomniała przez te 13 lat od wojny języka niemieckiego.

Dopiero po spotkaniu z Albertem i kilkunastu rozmowach, cos się odblokowało i odzyskała umiejętność mówienia po niemiecku.

Tam zobaczyła ponownie zdjęcia rodzinne, z pogrzebu swojego ojca, z rodzinnych uroczystości, z pobytu u stryja we Wrześni.

Od tego czasu nawiązała się kontakt rodzinny. Co roku były odwiedziny - raz w NRD, raz w Polsce.

Normalne zwykłe życie

Marian był murarzem, pracował na budowach. Roboty było dużo, szczególnie w Poznaniu, gdzie po wojennych zniszczeniach trzeba było odbudowywać miasto, a w nim zniszczone kamienice. W jednej z nich, Marian - złota rączka, urządził zonie „gniazdko” adaptując strych. Tam Różańscy mieszkali do 1966 roku.

W 1964 roku Marian Różański zmienił pracę, na monter w miejskiej gazowni. Za dwa lata otrzymał dwupokojowe mieszkanie w bloku. W gazowni pracował do emerytury.

Gizela nie była „kurą domową”. Całe życie pracowała, a dzieci Leszka i Ewę do południa niańczyła babcia Różańska. Pierwszą pracę Gizela podjęła w fabryce obuwia, jako robotnica. Później aż do

emerytury pracowała również na robotniczych stanowiskach.

W roku 1990 przeszła na emeryturę. Oboje, Gizela i Marian już nie żyją. On zmarł 15 lutego 1999 roku, Ona 4 stycznia 2011 roku. Spoczywają razem w grobie rodzinnym w Poznaniu na cmentarzu na Miłostowie.

Epilog

Mówi córka Gizeli Różańskiej z domu Daske Ewa Augustyniak:

- Mama do końca swoich dni w głębi duszy pozostała wyznania ewangelickiego, chociaż niewiele rozmawiała z nami o swojej niemieckiej przeszłości. Czuła się Polką.

Po jej śmierci napisałam maila do Słupska do księdza Wojciecha Froehlich proboszcza parafii ewangelickiej. Podalam dane mamy. Dostałam odpowiedź, że urodziła się 4 czerwca 1930 roku w Słupsku i że mieszkała wtedy przy ulicy Szkolnej (Schulestr.).

Od ks. Wojciecha dostałam adres mailowy do pana, panie Andrzeju i tak dzisiaj mogę z bratem Leszkiem gościć pana w naszym domu w Koziegłowach i opowiadać o niezwykłych losach mojej kochanej mamy. Zwykłej dziewczynce z niemieckiego Stolpu, która stała się Polką i ze swoim mężem, swoje dzieci wychowywała na zwykłych uczciwych ludzi.

Do pani Ewy Augustyniak i jej brata Leszka przyjechałam z Inowrocławia. Byłam wtedy w sanatorium, odzyskując siły po kilkumiesięcznym leczeniu kardiologicznych dolegliwości.

Rozmawialiśmy długo o losach ich mamy, która była uczestnikiem kilkumiesięcznego marszu do Grudziądza. Marszu, w którym setki, a może tysiące słupskich Niemców płaciło za chore idee i zbrodnie niemieckich faszystów. Mam pewność, że los każdego z tych tysięcy, mógłby być kanwą pasjonujących wspomnień.

Oczywiście jest to niemożliwe, aby przywołać imiennie pamięć wszystkich. Niech zatem Gizela będzie symbolem człowieka ponad podziałami i niech jej towarzyszą dwa inne symbole prawdziwego człowieczeństwa ojciec i syn - Józef i Marian Różańscy.

Dzień 9 marca w Słupsku jest jak najbardziej właściwym, aby tę historię ludzi opowiedzieć.

Andrzej Obecny

Fot. archiwum Ewy Augustyniak
obecny@poczta.onet.pl



Gizela Różańska z mężem Marianem. Mrzeżyno 1977 rok.

Dobra marka: Gawroński i Kiersnowski

Z Krzysztofem Gawrońskim lekarzem psychiatrą, słupszczaninem, o służbie zdrowia, systemie opieki zdrowotnej, leczeniu, powołaniu do zawodu, chorobach psychicznych, porażkach i sukcesach rozmawia Andrzej Obecny.

A.O.: Panie doktorze, zamiast wieść spokojne i dostatnie życie lekarza psychiatry, mieć czas dla rodziny, pan ciągle coś buduje, tworzy, inwestuje ryzykuje, nie ma wolnego czasu. Po co to Panu?

K.G.: Myślę, że chyba przyzwyczajenie i chęć satysfakcji z wykonywanego zawodu, z którą związana jest również chęć profesjonalnej pomocy chorym. Pomocy na miarę XXI wieku oraz co jest dla mnie ważne, spełnienie misji lekarza.

Aby mówić o motywacjach, trzeba się cofnąć do 1998 roku, kiedy wcielano w życie reformę służby zdrowia. W tym czasie miałem za sobą dwudziestoletni staż w państwowej służbie zdrowia i świadomość wielu niedoskonałości i niedociągnięć tego systemu w leczeniu chorób psychiatrycznych.

Jednym z ważniejszych, dla mnie, niedociągnięć tamtego systemu była niechęć decydentów do tego aby ten przestarzały system ulepszyć, zrobić coś lepiej. Oczywiście z korzyścią dla pacjenta i dla lekarza, czy ogólnie mówiąc dla personelu medycznego.

Ja taką szansę zobaczyłem w powołaniu kas chorych.

A.O.: Czy zatem prywatna służba zdrowia, bo w tym kierunku szło pana myślenie, jest lepsza od publicznej?

K.G.: Nie ma na tak postawione pytanie jednoznacznej odpowiedzi. Bo jest prywatna służba zdrowia lepsza i jest prywatna służba zdrowia gorsza.

A.O.: Kiedy to jest lepiej, a kiedy gorzej?

K.G.: Wszystko zależy od zarządzających. Znam publiczne placówki zdrowia dobrze zarządzane, dobrze prowadzone. Wtedy nie można powiedzieć, że w nich jest gorzej. Natomiast w prywatnej służbie zdrowia też jest różnie. Zle placówki zdrowia niepubliczne, to te, które są nastawione tylko na zysk i on wyznacza misję tego podmiotu. Boimy się takiego pojmowania celu funkcjonowania placówek zdrowia.

A.O.: To zatrzymajmy się chwilę na tym problemie. Jako pacjent mam obawy, że placówki zdrowia są jednostkami, gdzie ekonomia przysłania wszystkie inne funkcje. Nie ma pieniędzy, nie ma leczenia. Pieniądze są ponad dobrem człowieka chorego. Czy pewne sfery naszego życia, jak zdrowie, oświata, kultura nie powinny być wyłączone z tej kodeksowej zasady istnienia dla zysku? A powinna dominować zasada dobra wyższego, równe szanse dostępu, solidaryzm społeczny?

K.G.: Jestem lekarzem, dla którego powołanie do zawodu jest nadal wartością nadrzędną. Jednak trzeba wyważyć pomiędzy tym - co placówka zdrowia może dać pacjentom, a tym - jakie może zarobić pieniądze. Jest to wielki kłopot. Bo nigdzie na świecie służba zdrowia nie funkcjonuje dobrze.

My uważamy, że w Niemczech jest bardzo dobrze. Jest na pewno trochę lepiej jak u nas, ale trzeba spojrzeć na nakłady jakie ponoszone są przez Niemców na służbę zdrowia.

To jest pierwsza rzecz.

Mówi się, że w Szwecji jest tak bardzo socjalnie. Jest to prawda, ale pod pewnymi względami. Mój kolega psychiatra, który wyjechał do pracy w Szwecji mówił mi, że przyjmuje 9. pacjentów dziennie. Co w naszych warunkach jest wręcz nie do pomyślenia. Ale przy takich normach Szwedzi nie mają psychiatrów i ściągają ich z zagranicy. Natomiast mało kto wie, albo wie i nie mówi o tym, że aby skorzystać z porady specjalisty w publicznej placówce zdrowia w Szwecji, trzeba tam czekać i to wcale nie tak krótko i jeszcze do wizyty dopłacić.

U nas system stara się dojść do tego, aby wszystko było za darmo. Moim zdaniem tego się nie da osiągnąć. Bo będą bardzo długie kolejki.

A.O.: Ale to o czym pan mówi, może prowadzić do nierówności szans. Nie wszystkim będzie stać na pełną opiekę medyczną. Zresztą widzimy dzisiaj, że państwo nie zajmuje się wszystkimi przypadkami. Co sprytniejsi prowadzą zbiórki pieniędzy na rzecz swoich bliskich, a inni, mniej zaradni, pozostają sami ze swoim cierpieniem. Oczywiście i w tym przypadku mamy już przykłady cwaniactwa.

K.G.: To jest temat rzeka. Moim zdaniem jednoznacznie nigdy nie będzie. Nie jest to możliwe. Musimy spojrzeć na to jakimi środkami dysponujemy. Jakiegokolwiek one by nie były, zawsze będą niewystarczające. Tak, że urzędnik nad tymi pieniędzmi zawsze będzie miał kontrolę.

A.O.: No właśnie, czy zatem nie jest to zły system dystrybucji tych środków. Za dużo wydajemy na leczenie beznadziejnych przypadków, mniej na profilaktykę, szeroko pojętą promocję zdrowia? Polskie społeczeństwo jest jednym z najbardziej chorowitych.

K.G.: Zgadza się. Niewątpliwie my ten system cały czas budujemy mimo, że od wprowadzenia reformy upłynęło już tyle lat. To wszyscy musimy się tego nauczyć. To wymaga edukacji dłuższej niż okres, jaki upłynął od wprowadzenia reformy.

Chociaż zauważam, że nasz system idzie w niebezpiecznym kierunku zwiększonej sprawozdawczości i biurokracji, aby jak się to tłumaczy uszczelnić system. Tylko czy wtedy nie ucieka nam najważniejszy cel wydatkowania środków w systemie ochrony zdrowia?

A.O.: Czy koszt uszczelniania systemu nie jest czasem wyższy od ewentualnego „wycieku”?

K.G.: Nie wiem, ale może tak być, że ta cała machina biurokratyczna kosztuje za dużo. Mogę tylko powiedzieć, że przed podpisaniem umowy Fundusz przysłał urzędnika w celu



Od lewej Konrad Kiersnowski, Krzysztof Gawroński i wójt Leszek Kuliński przed budynkiem nowo otwartej placówki.

złustrowania placówki, z którą podpisze kontrakt. Uważam, że to jest bardzo dobre, bo pozwala stwierdzić, gdzie rzeczywiście i na co te pieniądze idą. Sądę, że takich kontaktów pomiędzy płatnikiem a placówką powinno być więcej.

A.O.: Czy lekarze, oprócz bycia klientami Funduszu, nie powinni sami zwracać uwagi na ważną rolę profilaktyki. Promowania innego stylu życia. Przecież kiedyś, nie było tylu chorób psychicznych. Ludzie sobie jakoś radzili, nie było nerwicy, zawałów, takiego szerokiego zjawiska demencji itp. ?

K.G.: Może zacząć od tego, że tak naprawdę nie wiemy skąd się biorą choroby psychiczne i zaburzenia psychiczne. Czy jest ich więcej? Jeżeli weźmiemy sztandarową chorobę psychiczną schizofrenię to poziom od wielu, wielu lat jest taki sam i wynosi około 1%. Choroba Alzheimera czy choroby z grupy otępień, to inna kwestia i raczej pochodzą wydużenia średniej życia niż cywilizacji. Po prostu kiedyś wielu ludzi nie dożywało do takich chorób. Umierali wcześniej.

Ważnym jest również dostępność do świadczeń. Na przykładzie naszej działalności mogę powiedzieć, że zaczynając prowadzić Poradnię Zdrowia Psychicznego w Miastku, przejeżdżaliśmy placówkę funkcjonującą raz w tygodniu przez 6 godzin. My doprowadziliśmy do tego, że ta poradnia zaczęła funkcjonować codziennie. Stąd też trudno się dziwić, że wzrosła ilość pacjentów. Ona wzrosła nie z tego powodu, że była większa zachorowalność, a z tego, że jest większa dostępność.

Następnym powodem jest zmiana obyczajów, która nastąpiła dzięki pewnej pracy oświatowej lekarzy i mediów. Po prostu ludzie przestali się wstydić chorób psychicznych. Do lekarza psychiatry dzisiaj idzie się niemal tak samo jak do innego specjalisty.

Także tych przyczyn zwiększenia liczby pacjentów z chorobami psychicznymi jest więcej i wcale nie jest tą główną - cywilizacja.

A.O.: Można powiedzieć, że doktorzy Gawroński i Kiersnowski są liderami naszej słupskiej psychiatrii? Oczywiście w takim sensie, że dążycie do tego aby system opieki psychiatrycznej był na wysokim poziomie?

Broń Boże nie kadzę, ale pamiętam, że już dziesięć lat temu pukaliście do słupskiego samorządu, aby akceptował wasze pomysły: a to na oddział długoterminowej opieki psychiatrycznej, a to pomysł na przychodnię...

K.G.: Po prostu odważyliśmy się na pracę na własny rachunek. Chcieliśmy realizować swoje pomysły na własną rękę, skoro nie mogliśmy tego robić w publicznej służbie zdrowia. Ryzyko się opłacało, ale nie było łatwo.

Zwolniliśmy się z pracy i zaczęliśmy pracować na swoim. Z roku na rok firma rosła, rozwijaliśmy się, przyjmowaliśmy młodych lekarzy, którzy u nas mogli szybciej zrobić specjalizację. Zyskaliśmy zaufanie pacjentów i ich rodzin.

A.O.: Jak to się stało, że zawitaliście do Kobylnicy?

K.G.: Cofnijmy się trochę w czasie. Prowadziliśmy w Bytowie i Miastku dwa oddziały. Były to oddziały również opiekuńczo lecznicze. W pierwszym naszym planie było budowanie nowego obiektu w powiecie bytowskim. Stare obiekty, w których prowadziliśmy naszą działalność nie spełniały wielu wymogów. Zakupiliśmy działkę w Miastku i zrobiliśmy kosztorys. Niestety nie stać było nas na tak dużą i kosztowną inwestycję.

W tym czasie pojawiła się informacja, że wójt Leszek Kuliński stał się, jako gmina, właścicielem obiektu po siostrach franciszkanek w Widzinie.

Wysłaliśmy z propozycją, czy nie widział by tam zakładu opiekuńczo leczniczego o specjalności psychiatrycznej?

Po wielu rozmowach, negocjacjach, wydarzeniach uznaliśmy za najbardziej optymalny wariant współpracy partnerstwo publiczno-prywatne. I w takiej formule powstała nasza placówka, którą na początku roku oficjalnie otworzyliśmy.

Myślę, że będzie służyła mieszkańcom regionu i z czasem zyska jeszcze większe zaufanie i przeświadczenie, że to co niepubliczne nie jest gorsze, a co najmniej równoprawne. Nie może być inaczej, gdyż zbyt długo pracujemy na naszą markę.

A.O.: Dziękuję za rozmowę.

Dzięki przeszczepowi szpiku żyjemy

O rozmowę poprosiłem Olę Filiczowską i Andrzeja Twardowskiego - słupszczan, którzy wygrali walkę z białaczką. Olga i Andrzej mają drugie życie dzięki dawcom szpiku i swojej wielkiej wierze oraz chęci życia. Ale najlepsza wiara w wyzdrowienie nie pomorze, gdy nie będzie dawcy. On jest najważniejszy. Szansa na zgodność szpiku dawcy i biorcy jest jedna na kilka milionów. Im zatem więcej potencjalnych dawców, tym chorzy mają większe szanse na powrót.

Andrzej Obecny: Ile lat jesteście po przeszczepie szpiku?



Andrzej Twardowski: 5 kwietnia będę obchodził moje drugie 12 urodziny. Potwierdzam, że przeszczep był dla mnie jedynym ratunkiem uratowania życia. Okres po przeszczepie jest dla mnie normalnym życiem, bez żadnych ograniczeń, złego samopoczucia, żadnych dolegliwości. Oczywiście pewne sprawy musiałem zweryfikować. Ale poszły one raczej w kierunku zdrowego trybu życia, a nie w ograniczeniach. Cieszę się każdym dniem, przeważałem swoje istnienie na tym najlepszym ze światów. Jako człowiek doświadczony chorobą i przeżyciami z nią związanymi, zarówno w sferze fizycznej jak i psychicznej jestem wielkim orendnikiem wszelkich akcji pozyskania szpiku do przeszczepu. Angażuję się również w rozmowy z chorymi na białaczkę, bowiem nic tak nie dodaje im wiary w wyzdrowienie jak rozmowa z kimś, kto ją pokonał.



Olga Filiczowska: Potwierdzam. Ja wiele zawdzięczam panu Andrzejowi. Wracając do pana pytania, to ja jestem młodszą od pana Andrzeja, bo mi, w tym roku, minie 5 lat od przeszczepu. Jednak mój przypadek jest inny i ja muszę jeszcze cały czas przyjmować leki.

A.O.: 15 marca w godzinach 12-19 w Akademii Pomorskiej przy ulicy Westerplatte 64 będzie, w ramach „Dnia Szpiku”, pobierana krew w celu oznaczenia parametrów szpiku i zapisania ludzi do tzw. „Banku Dawców Szpiku”. Istnieje przeświadczenie, że pobieranie szpiku jest bolesne

i niebezpieczne dla zdrowia dawcy?

A.T.: Bardzo popieram tę akcję. Dla mnie sama świadomość, że mogę komuś uratować życie lub mówiąc prościej podarować życie, jest bardzo wielką motywacją. Nie ma chyba większej możliwości zmanifestowania swojego człowieczeństwa niż to, że możemy być dawcami życia. Zabieg oznakowania parametrów szpiku, nie różni się niczym od zwykłego pobrania krwi. Zatem jest całkowicie bezbolesny. Konsekwencji negatywnych oddania szpiku nie ma. Wiąże się to tylko, gdyby zaistniała potrzeba oddania tego szpiku, z niewielkimi niedogodnościami.

A.O.: Na czym te niedogodności polegają?

A.T.: Trzeba pobrać szpik. W związku z tym dawca musi się zgłosić do miejsca, gdzie będzie on pobierany. Nie wiąże się to absolutnie z tym, że trzeba jechać do miejsca, gdzie przebywa chory. Szpik pobiera się od dawcy i transportuje do miejsca przeszczepu. Dawca zupełnie nie kontaktuje się z biorcą. Dawca może być w np. Argentynie, a biorca w np. Gdańsku. Sam zabieg pobrania szpiku jest również bezbolesny i bezpieczny.

Nie pobiera się go, jak się powszechnie uważa z kości, czy kręgosłupa, nie rodzi ryzyka. Natomiast powszechnie są mity, że pobranie szpiku to zabieg niebezpieczny i grozi niedowładem kończyn, że ktoś, kto raz odda szpik, musi go oddawać systematycznie do końca życia, że na ciele dawcy pozostają brzydlaki i wielkie blizny, że dawca musi długo przebywać w szpitalu...

To wszystko nieprawda.

Chcę zaprzeczyć, tej wierutnej nieprawdzie. Szpik oddają nawet małe dzieci, później normalnie się rozwijają i żyją. Do tej pory na świecie oddało swój szpik kilkadziesiąt tysięcy dawców i żaden z nich nie przeplacił oddania szpiku jakimikolwiek komplikacjami.

O.F.: Bardzo ważne jest to, aby w Banku Szpiku było jak najwięcej potencjalnych dawców. W moim przypadku poszukiwanie dawców było bardzo żmudne i długotrwałe. Objęło wszystkie banki na całym świecie, wszystkie kraje na wszystkich kontynentach i mimo, że spośród kilkuset milionów wyselekcjonowano 10. możliwych dawców, żaden z nich w ostateczności nie nadawał się na moje dobroczynce. W końcu znalaziono tzw. krew pepowinową w Szwajcarii i ona uratowała mi życie. Gdyby dawców było więcej prawdopodobieństwo znalezienia tego właściwego, również byłoby większe. Wielu chorych musi umrzeć, bo ich potencjalny dawca, który mógłby im wrócić zdrowie i życie, nie jest zapisany w Banku Szpiku. Dlatego trzeba apelować, prosić, przekonywać, tym bardziej, że to jest całkowicie bezpieczne dla dawcy.



A.O.: Czy zatem można stwierdzić, że wyleczenie białaczki, to jest tylko formalność w znalezieniu dawcy?

A.T.: Oczywiście, że nie. Mimo wielkiego postępu w zakresie ratowania chorych na białaczkę, jej różne postacie powodują to, że wielu chorych nie pokonuje tej choroby. Jednak większość ludzi jest do uratowania. Potrzeba tylko dawcy, który będzie miał zgodny szpik. Dzisiaj pierwszym etapem, oprócz chemioterapii, jest szukanie dawcy. Na dzisiaj nie ma środka farmakologicznego, przy pomocy którego można skutecznie pokonać niektóre typy białaczki, trzeba je leczyć tylko poprzez przeszczep.

O.F.: Ważne w tym wszystkim jest również to, żeby uświadomić sobie ogrom cierpienia zarówno fizycznych jak i psychicznych, które doznaje osoba dotknięta tą chorobą. W moim przypadku wszystko zaczęło się od wielkiej rany w okolicy kolana. Z jednej strony była białaczka, z drugiej rana w którą wdała się zgorzel. Mój przypadek był podobny, do przypadku pacjenta, który zmarł. Beznadziejność sytuacji, czarne myśli, samotność w chorobie, jest to koszmarna wieczność, której nie życzę nikomu. Nie pomagały słowa mamy, że wszystko będzie dobrze. Bo co innego może mówić matka, która cierpi tak samo jak jej dziecko.

Dwie rzeczy mnie uratowały. Dwie rzeczy, które dały nadzieję. Słowa chłopaka, w szpitalu i pana Andrzeja, a więc osób, które pokonały chorobę. Słowa, które nie kłamały, że można wyzdrowieć. I druga rzecz: nadzieja na dawcę szpiku.

My ludzie, którzy powrócili z koszmaru, mówimy chorym: nie traćcie wiary, że wyzdrowiejecie, bo to jest prawda. Natomiast wszystkim innym, zdrowym mówimy i apelujemy: Idźcie się zapisać do Banku Szpiku, bo to jest większa sprawa niż możecie sobie wyobrazić. Los jest łaskawy i dobroć zwraca z nawiązką.

A.T.: Pięknie to Olga powiedziała. Ja tylko, że łzami w oczach, mogę się do tego apelu przyłączyć.

A.O.: Dziękuję bardzo za rozmowę. Czytelnikom tylko dopowiem, że nasze spotkanie - wywiad, które odbyło się w słupskiej Herbaciarni trwało około dwóch godzin. Niestety, nie sposób wszystkiego o czym mówili - Olga i Andrzej, zmieścić na kawałku strony.

Moi goście opowiedzieli o swojej walce z chorobą. Słuchałem pełen myśli o losie, który jest ślepy i o wielkiej determinacji, cierpieniu, niewypowiedzianej chęci życia. I o tym jak mało nieraz trzeba, aby zrobić wielkie rzeczy. Aby uratować kogoś życie.



I TY MOŻESZ URATOWAĆ ŻYCIE DZIEŃ DAWCY SZPIKU W SŁUPSKU DLA JANKA I INNYCH

**15 MARCA
12:00 - 19:00**



**AKADEMIA POMORSKA
WYDZIAŁ EDUKACYJNO-FILOZOFICZNY**

UL. BOHATERÓW WESTERPLATTE 64, HOL INSTYTUTU PEDAGOGIKI, 1 PIĘTRO

WWW.DZIENDAWCY.SLUPSK.PL



Herb dynastii Árpádów z pęgami i krzyżem (kolor pasków białoczerwony).

Nie było to mój pierwszy kontakt z Kaszubami: ich język, bogata i dumna historia oraz wielobarwna kultura urzekły mnie już kilka lat temu. Wspomniane spotkanie, rozmowy i wycieczki w regionie dały mi wiele do myślenia, przede wszystkim o egzystencji człowieka, o jego miejscu i roli w historii.

Jako młody chłopak, świeżo po maturze, przekroczywszy po raz pierwszy granicę Polski – kraju o którym praktycznie nic nie wiedziałem – poczułem, że zaczyna się coś ważnego. Kilkuniedniowy pobyt w Zakopanem, spacer po krakowskim Rynku, zwiedzanie kościoła Mariackiego i Wawelu oraz słuchanie fantastycznych nagrań Czesława Niemena, Marka Grechuty i zespołu Breakout zapoczątkowały radykalne zmiany w moim życiu. Od tamtego mroźnego grudnia minęło wiele lat. Nauczyłem się języka polskiego i jako dyplomata przez kilka kadencji reprezentowałem Węgry w Ambasadzie w Warszawie. Moje dzieci wychowały się w duchu kultury węgierskiej i polskiej. Ukończyły polonistykę i mają podwójną tożsamość narodową. Uważają, że dzięki temu są wewnętrznie bogatsze. Wygląda na to, że Iskierczka (moja wnuczka) przejęła pałeczkę po swojej mamie. Jestem z tego dumny.

Historia, którą opisują uczeni, wspierając się odpowiednimi źródłami, jest zbiorowym doświadczeniem pokoleń. Choć historyk zazwyczaj specjalizuje się w wybranym przez siebie okresie, ma świadomość, że każda epokę poprzedzała inna epoka. Na płaszczyźnie konkretnych struktur społecznych dzieje świata składają się z nieskończonej ilości losów pojedynczych osób, tych znanych i tych bezimiennych. W dzieje powszechne wpisują się historie członków wielkich dynastii oraz anonimowych poddanych, pozbawionych wszelkich praw. Jednak dzieje poszczególnych ludzi zabierają się w jakiś sposób. Co z tego wynika? Dla mnie, rodowitego Węgry, który zapuścił swoje korzenie w Polsce, bardzo wiele. A dla Polaków, dla Kaszubów oraz przedstawicieli innych grup etnicznych żyjących na Pomorzu – zapewne jeszcze więcej.

Na pograniczu, terenów, gdzie różne narody i kultury żyją razem, świadomość wzajemnego oddziaływania powinna być silna. Z każdym oswojonym językiem obcym człowiek staje się bogatszy. Ludzie należący do innych kultur, a żyjący blisko siebie w sposób naturalny zdobywają to bogactwo.

Światowej sławy węgierski kompozytor Béla Bartók w latach trzydziestych XX wieku nagrywał muzykę ludową na Bałkanach czy w Siedmiogrodzie miał świadomość, iż odnajduje tam węgierskie motywy. W pieśniach węgierskich odkrywał ślady kultur południowych i wschodnich narodów. O wzajemnym oddziaływaniu kultur pisze w swoim dziele zatytułowanym *Seklerskie Ballady* Ludowe także Gyula Ortutay: „(...) Etnografia, a szczególnie jej specyficzny folklor, pokazuje dobitnie dwa oblicza tej nauki: z jednej strony jest ona najbardziej narodowym przejawem, źródłem prastarych pamiątek ludu strzegącym jego tradycji, z drugiej zaś międzynarodowym zjawiskiem, gdyż wskazuje na jedność kultur ludowych i na ich podo-

Rozważania potomka Árpádów znad Słupi Przed wszystkim człowiek

Na jesieni ub. roku na zaproszenie Zbigniewa Talewskiego, Prezesa Fundacji Naji Gñchë i Stowarzyszenia Centrum Międzynarodowych Spotkań w Tuchomiu, miałem zaszczyt uczestniczyć w programie V Spotkań na Gochach i Zaborach, poświęconych Florianowi Ceynowie i tematyce panslawizmu.

bieństwo” (Wydawnictwo Biblioteki Polskiej w Budapeszcie 1943 rok).

Na starym kontynencie sąsiaduje ze sobą kilkadziesiąt narodów. W wyniku burzliwej historii granice poszczególnych państw wiele razy były na nowo ustalane przez zwycięzców. Przegrani szukali okazji do odwetu. To samo wydarzenie, np. rozpad Monarchii Austro-Węgierskiej, dla jednych oznaczało wschód, dla innych zachód słońca. O ile zmiany po pierwszej wojnie światowej Polsce przyniosły możliwość odzyskania suwerennego bytu państwowego, dla moich rodaków oznaczały utratę 2/3 terytorium kraju. 1/3 ludności – rzecz jasna, nie tylko Węgrów – znalazła się w sąsiednich państwach.

XX wiek zadał najostrzejszy cios narodom Europy. Pierwsza i druga wojna światowa pochłonięły miliony ofiar, spowodowały niespotykane dotychczas zniszczenia – również w ludzkich umysłach. Na wcześniej powstałe warstwy antagonizmów dzielące narody położono nowe. Te niewyobrażalne straty uświadomiły jednak Europejczykom, że aby być bezpiecznym, trzeba zjednoczyć Europę politycznie i gospodarczo. Niewątpliwie u podstaw tendencji zjednoczeniowych leży wspólna historia i kultura narodów zamieszkujących kontynent. Wspólnota losów, to co gołym okiem widać między innymi na Pomorzu, istnieje także w wymiarze całego kontynentu. Narody potrzebują siebie

nawzajem, żeby żyć bezpiecznie i dostatnio. Egoizm narodowy niesie ze sobą zniszczenie, a najwięcej spustoszeń dokonuje w samych ludziach. Integracja europejska stwarza szansę poprzez wspieranie regionalizmów i tożsamość małych ojczyzn, aby Polak, Węgier czy Kaszub mogli być patriotami, pielęgnującymi swoje tradycje narodowe, przy jednoczesnym poszanowaniu swoich bliższych i dalszych sąsiadów. Powiem więcej. Uważam, że społeczeństwo wielkościowe winno stosować zasady dyskryminacji pozytywnej (faworyzowania) wobec mniejszości narodowych i etnicznych w celu wyrównania szans, w imię tolerancji i zrozumienia, w duchu empatycznego otwarcia na innych. Także we własnym interesie. Inaczej rany nigdy się nie zdołają zagoić.

W tym konstruktywnym duchu budowania mostów między narodami, niekonięcznie przepadającymi za sobą, parę lat temu grupa Węgrów i Słowaków założyła partię polityczną pod nazwą HID, czyli MOST. Fakt, że tej formacji udało się wejść do parlamentu słowackiego, a obecnie współrządzi, natomiast czysto węgierska partia podkreślająca swe etniczne korzenie stopniowo marginalizuje się wśród Węgrów żyjących na Słowacji, moim zdaniem daje podstawę do optymizmu. Coraz więcej obywateli Słowacji niezależnie od przynależności narodowej zdaje sobie sprawę z tego, że przede wszystkim jest się człowiekiem,

dopiero potem członkiem zbiorowości narodowej, religijnej, itp.

Na koniec, mojego artykułu, pragnę przedstawić Czytelnikom historię pewnego związku między średniowiecznymi Węgrami a Pomorzem, czego ślady dwa lata temu odkryłem ze zdumieniem w kościele św. Jacka w Słupsku.

Otóż podczas zwiedzania jednej z najstarszych świątyń w Słupsku Ákos Engelmayr, były Ambasador Węgier w Polsce, zwrócił mi uwagę na herb dynastii Árpádów (z tego rodu wywodzą się pierwsi królowie Węgier w XI-XIV stuleciach ze Stefanem Świętym na czele), który widnieje na epitafium Anny de Croy, ostatniej przedstawicielki dynastii Gryfitów. Sam jednak nie miał pojęcia, skąd znalazł się on na Pomorzu. Obiecałem wyjaśnić tę zagadkę Ambasadorowi, a zarazem sobie.

Choć historycy różnią się co do szczegółów, część zachowanych źródeł w sposób ewidentny dowodzi, że francuska rodzina de Croy wywodzi się bezpośrednio od Árpádów. Shupszczanie zapewne wiedzą, że jedna z córek księcia Bogusława XIII i jego pierwszej żony, księżniczki brunswickiej Klary, Anna została wydana za mąż za Ernesta, księcia Croy i Aerschot w roku 1619. Natomiast nie jest powszechnie znany fakt, o czym pisze Pontus Heuter w swojej kronice (1583), że Andrzej, najmłodszy syn króla Węgier Andrzeja II (1205-1235) i Gertrudy, ożenił się w Wenecji z Sybillą. Ich syn Mark ożenił się z Katarzyną, córką i jedyną spadkobierczynią barona de Croy.

Współczesny węgierski historyk Zoltán Terplán jest nieco innego zdania. Uważa on bowiem, że trzecia żona sędziwego władcy Węgier Andrzeja II Beatrix, obawiając się o swe życie ze strony dorosłych już synów, uciekła z dworu w stanie brzemiennym w roku 1235 i urodziła syna na terenie Cesarstwa Nie-



Herb rodzinny de Croy (kolor pasków białoczerwony).

mieckiego. Chcac jednak podkreślić królewsko-węgierskie pochodzenie dała mu na imię István. Dorosły István zdobył majątek Croy w północno-zachodniej Francji, a później ożenił się z Tomasina Morosini z Wenecji. Ich potomek – który jeszcze za życia ojca stał się właścicielem majątku Croy – jako Andrzej III wstąpił na tron węgierski (1290-1301). Był on zresztą ostatnim z rodu Árpádów.

**András Asztalos
Budapeszt/Słupsk**



András Asztalos pokazuje herb rodzinny de Croy w kościele św. Jacka w Słupsku.

Kaszubska humoreska

Największy słupski bałwan

Kaszubi słyną z niesamowitych pomysłów. Zaskakują ich oryginalnością i skalą. No bo kto wymyślił i zrobił najdłuższą deskę świata i dom do „góry nogami”? Kto ma aktualny rekord Polski, jeżeli nie świata w jednoczesnej grze na akordeonie? Kto stworzył największą pipę, czyli po polsku fajkę, jak nie Kaszubi? Jak by tego było mało największa tabakiera, co akurat nie dziwi, też jest dziełem Kaszubów.

W Słupsku też mamy Kaszubę od zadziwiania. Po prostu słupscy Kaszubi nie mogą pozostać w tyle. Wprawdzie dzieło jest nietrwałe, na całe szczęście i tylko na okres poniżej zera, ale zadziwia swoją wielkością i funkcjonalnością.

Mowa o największym w Słupsku bałwanie. A jak mówią znawcy tematu wielkość słupskiego bałwana sięgała nie tylko granic miasta, nie tylko sąsiednich gmin, ale dotarła już do Gdańska.

Autorem, pomysłodawcą i wykonawcą słupskiego największego bałwana jest Alfons Klepin – Kaszub z krwi i kości. Swoje dzieło wykonał w okresie styczniowego ataku tegorocznej zimy, na swojej posesji przy ulicy Krzywej 13.

Bałwan nie był tylko kaszubski, był internacjonalistyczny: Kaszubsko-Polsko-Rosyjski. Symbolizuje tych bałwanów, którzy nie potrafią przyjaźnie łączyć ludzi. Miał 6 m obwodu, wysoko-

ści 4,5 m, posiadał barek z nalewką kaszubską i tabaką. Przy jego narodzinach pomagali sąsiedzi i ich wnuki, zatem było to dzieło wielopokoleniowe. Szkoda, wspominał Alfons Klepin, że nie było więcej chętnych. Bałwan powstał przy 20 stopniowym mrozie, przysyłanym specjalnie z Syberii do Słupska przez przyjaciół Rosjan. Dzieło tworzenia trwało dwa dni. Było ozdobą domu kaszubskiego Alfonsa Klepina. Cały czas Bałwan obawiał się o przyszłość, szczególnie w ostatnich dniach lutego, gdy synoptyk Scibor zapowiedział ocieplenie. Ale odgrażał się, że powróci za rok jeszcze większy z większym barkiem. Robiony był specjalną technologią prosto z Gochów – (śnieg polewany wodą). Alfons Klepin, zapowiedział, że w przyszłym roku postawi szampana temu, kto stworzy większego słupskiego bałwana niż zrobił to on z sąsiadami.

Podobno zawiązuje się kapituła by w Słupsku promować bałwanów gigantów i przyznawać specjalne tytuły. Największy słupski bałwan roku. Gdy ceremonia wejdzie do rytuału miejskiego, to wzorem „Ludowych Oskarów” będzie można przyznawać tytuły „Bałwanów Dekady”, wieku i wszechczasów. Produkt mistrza Alfonsa wzbudził wielką sensację. O jego wyczynie rozpisywała się prasa, mówiło radio, pokazywała telewizja, szeptana propaganda niosła się jak przysłowiowe tsunami.

Do słupskiego, największego bałwana szły wycieczki ciekawskich. Najwięcej było przedszkolaków i uczniów słupskich podstawówek. Ale i dorośli, szczególnie gdy gruchnęła wieść, że śniegowy pan rozlewa z barku, który ma w okolicy odbytnicy, nalewkę kaszubską, po cichutku, pojedynczo podchodzili do największego bałwana na Ziemi Słupskiej, aby z nim zagadać i wypić bruderszaft.

Niektórym się udawało. Rozgrzani, przypatrywali się uważnie bałwanowi i szukali podobieństwa do kogoś znanego, szanowanego, padały różne imiona i nazwiska. Kandydatów na największego słupskiego bałwana było paru. Co ciekawe

byli to przeważnie, prawie tak „wielcy ludzie” jak Klepinowe dzieło.

Autor, z znanych tylko sobie powodów zabronił zdradzać, kto uzyskał największej typów. Bałwan pozostał bezimienny. Kilka dni temu roztopił się, mimo swojego formatu i to w chwili, gdy uwierzył w tę swoją wielkość. No cóż wszystko mija, szczególnie gdy aura się zmienia i nie ma warunków aby dalej bałwan stał sobie i myślał, że jest wielki.

Pozostała po nim tylko brudna kałuża. Pewnie za rok będziemy mieli w Słupsku nowego, wielkiego bałwana.

Janko Wiosenny



Po przedstawieniu panelistów, przez gospodarza spotkania Andrzeja Obecno, głos zabrala Beata Maciejewska z Fundacji „Przestrzenie Dialogu”.

Powiedziała między innymi:

- Ubiegłoroczne wybory parlamentarne uwiarydliły słabość dominującej dotąd formacji lewicowej, a jednocześnie pokazały wielką potrzebę lewicowej polityki. Podczas debaty przyjrzymy się współczesnym „miarom lewicy”. Porozmawiamy o tym, czy wykształciła się w Polsce lewica, która potrafiłaby realizować lewicowe postulaty w sposób spójny, nowoczesny i wiarygodny, na miarę czasów.

Następnie głos oddała panelistom.

Oczywiście nie sposób zamieścić szczegółowego stenogramu wypowiedzi uczestników dyskusji, ze względu na brak miejsca. Dlatego przyjmijmy zasadę, że w formule wypowiedzi zawarte będą syntetycznie przekazane treści, a nie to, co dosłownie powiedzieli paneliści.

Andrzej Obecny - Klub Lewicy przy SLD w Słupsku

- Nie sposób podczas jednej wypowiedzi zdiagnozować i dać receptę na współczesną lewicę. Dyskusja na ten temat powinna się toczyć w różnych gremiach, forach, platformach dyskusyjnych. Powinno to zajmować ludzi, którym bliska jest sprawczość społeczna, tolerancja, świeckość państwa, równouprawnienie, świadomość zmiany obyczajów, ekologia, równość szans. Oprócz dyskusji ogólnych, o umownie mówiąc „miarach lewicy”, powinny odbywać się dyskusje specjalistyczne o: oświacie, służbie zdrowia, rozwoju społecznym itp. itd.

Na każdy z tematów dotyczących społecznych sfer życia powinniśmy szukać lewicowych miar, tego swoistego lewicowego, a więc postępowego oglądu świata.

Dla mnie podstawowym wymiarem jakiegokolwiek myśli społecznej jest ideowość uczestników grupy. Partii politycznej, organizacji społecznej, wspólnoty religijnej. Owa ideowość jest podstawowym warunkiem zdobycia zaufania ludzi, którzy z daną grupą nie są związani instytucjonalnie, a tylko mogą, pełniąc rolę obserwatorów być jej zwolennikami lub oponentami. Zatem z jednej strony ideowość, a z drugiej, aby to co mówię nie było utopią. Chodzi mi tutaj o mechanizmy czy narzędzia „wymuszania” owej ideowości.

Nie powiedziałem w tym zakresie nic nowego, bowiem mechanizmy te obowiązują od wieków, tylko narzędzia się zużywają. Jeżeli kiedyś tymi narzędziami był przymus fizyczny, a sposobem dyktatura, że przypomnę tylko niektóre: Święta Inkwizycja, faszyzm, komunizm w wydaniu stalinowskim, nacjonalizm..., to dzisiaj owe mechanizmy muszą być zupełnie inne, ale o tym później.

Moim zdaniem w Polsce po 1989 roku właściwie nie pojawiła się na stałe prawdziwa ideowa lewicowa partia, a te któ-

re były i są raczej zajmują się lub zajmowały zdobyciem władzy i przywilejów dla swoich celebrytów. Oczywiście - żeby była jasność - dotyczy to nie tylko partii lewicowych, ale również prawicowych.

Po dwudziestu latach istnienia transformacji ustrojowej, czas aby do upadłej ideowości wracać. Niestety potrzebne są narzędzia.

A z tymi nie jest łatwo.

Próba zastraszenia społeczeństwa mawianiem swoich zwolenników w PiS i organizacjach narodowo-katolickich, ale jest to i na szczęście populacja wymierająca. Nie ma na to dzisiaj szans, o ile system liberalny w czystej formule nie opanuje Polski, co w konsekwencji może doprowadzić do niekontrolowanego masowego oburzenia ludzi.

Niestety jest to możliwe.

Dlatego, moim zdaniem, wielka nadzieja w lewicy, która pierwsza powinna powiedzieć: Panowie i Panie sprawowanie funkcji ze społecznego mandatu to nie jest sposób na fajne życie i ustawienie się.

Uruchamiamy narzędzia ograniczające.

Będzie to pierwszorzędnny dowód na ideowość formacji lewicowych.

Pierwszym i podstawowym powinna być maksymalnie dwukadencyjność wszelkich funkcji z wyboru społecznego: Prezydentów - to już jest, ale również premierów, posłów, marszałków i radnych w sejmikach wojewódzkich, prezydentów, burmistrzów, wójtów i radnych jednostek samorządowych. I nie ma zmiłuj się. Nie ma ludzi niezastąpionych.

Dzisiaj każdy działacz partijny jakiegokolwiek partii, po wygraniu jakiegokolwiek wyborów, na następny dzień po nich, zamiast na służbie społecznej, skupia się na wszelkich działaniach, aby utrzymać raz zdobytą funkcję. Daje ona bowiem wiele przywilejów, dostatnie życie, zaspokojenie próżności (któ jej nie ma), poczucie bycia mądrym, kompetentnym... A im dłużej to trwa rodzi patologię władzy i przynosi więcej strat niż korzyści.

Świadomość ograniczenia czasu sprawowania funkcji pozwoli, tak myślę, skupić się wybranym na myśleniu o tym co będzie potem. Co robić aby nie utracić społecznego zaufania, być w dalszym ciągu, po zakończeniu funkcji wójta, burmistrza, radnego, człowiekiem postrzeganym pozytywnie, użytecznym w życiu społecznym, jako np. wolontariusz, doradca itp.

Oczywiście to tylko jedno z narzędzi, powinno ich być więcej. Powinniśmy na ten temat dyskutować.

Piotr Ikonowicz - Kancelaria Sprawiedliwości Społecznej

- Lewica powinna bronić kieszeni podatników. Aby ta cała swolocz, która zarabia niewyobrażalną, dla normalnego człowieka, ilość pieniędzy była właściwie i wysoko opodatkowana. Dzisiaj musi być o to, o wysokie podatki dla bogatych, nieprzejednana walka. Bo taki co zara-

Miary lewicy

W dniu 29 lutego w słupskiej restauracji „Et Cetera” odbyła się debata p.t.: „Miary Lewicy. Czworo panelistów: Beata Maciejewska z Gdyni, Katarzyna Koper-Jeleńska, Piotr Ikonowicz i Andrzej Obecny próbowała odpowiedzieć na pytania – skąd, dokąd, gdzie, z kim, jak i po co? Po dwugodzinnej dyskusji panelistów głos oddano licznie zgromadzonej publiczności. Dobrze, że taka debata się odbyła, że będą następne.

Pierwsza odbyła się pod patronatem Fundacji im. „Róży Luksemburg” i Fundacji „Przestrzenie Dialogu”, partnerem lokalnym była gazeta „Moje Miasto”.

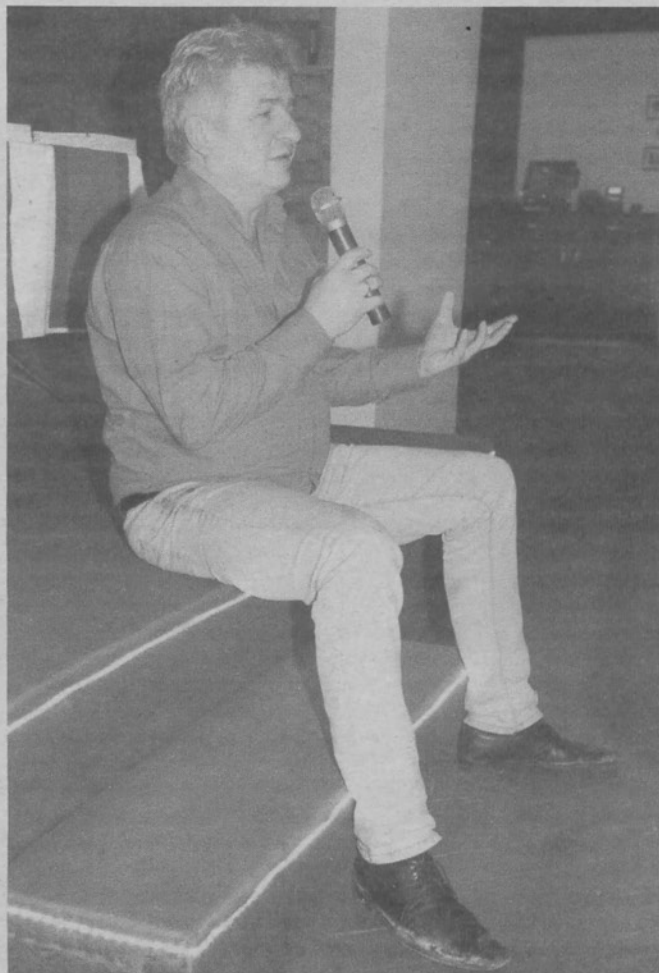


bia kilkadziesiąt tysięcy złotych miesięcznie, będzie robił wszystko, aby walczyć o swoje, bo wie co traci. Bo nie zgadza się na to, aby te niby jego pieniądze były przeznaczone na przedszkola, szkoły, kamieniczników, właścicieli fabryk, banków, członków zachodnich korporacji... Nie jest to sejm większości społeczeństwa.

Badania, które są moim zdaniem fałszowane i robione na użytek mniejszości mówią, że ludzie są zadowoleni, że wszystkim żyje się lepiej. A jeżeli są ludzie biedni, to jest to jakaś żalosna mniejszość. Mniejszość podejrzana o lenistwo i alkoholizm.

Mój syn w podręczniku z postaw przedsiębiorczości ma napisane, że bezrobotny to jest człowiek, któremu nie chce się pracować.

W naszym kraju, dzisiaj człowiek zadowolony, to jest taki, który jest szczęśliwy, że zapłaci w danym miesiącu



wszystkie rachunki. To jest dzisiaj miarą szczęścia w Polsce.

Ja rozmawiałem ze Szwedem, a on mnie pyta:

- Ile ty zarabiasz?

I my się nie możemy dogadać, bo jemu chodzi o to ile mi zostaje po zaplaceniu wszystkich rachunków. A mi nic nie zostaje. To on mi mówi, że ty nic nie zarabiasz.

Lewica zatem musi walczyć o prawa słabszych i biednych. Tego nie da się inaczej wywalczyć jak ruchem społecznym. Mamy dosyć przedstawicieli, aparatów partyjnych, którzy kłamią w żywe oczy.

Katarzyna Koper-Jeleńska - Forum Równych Szans i Praw Kobiet

- Dla mnie „miara lewicowości”, to przede wszystkim wrażliwość, która nakazuje traktowanie wszystkich ludzi tak, aby nie naruszać ich godności, zachować ich podmiotowość, przy świadomości ich różnic i różnorodności, które wynikają z różnic płci, wykształcenia, narodowości, koloru skóry, preferencji seksualnych... Jest to następny temat rzeka, który można zawrzeć w słowie tolerancja, otwarcie na drugiego człowieka, myślenie o mniejszości i słabszych jako o tych, których trzeba chronić, dawać im świadectwa swojego człowieczeństwa, partnerstwa.

Dla organizacji, którą reprezentuję Forum Równych Szans i Praw Kobiet, podstawowym problemem jest walka z przemocą w rodzinie i równość praw kobiet i mężczyzn.

Lewica powinna tutaj wysłać klarowny sygnał, że jakakolwiek przemoc, a w stosunku do kobiet i dzieci w szczególności - jest niedopuszczalna. Że przemoc wobec kobiet stanowi brutalne naruszenie praw człowieka, a w szczególności prawa do życia, bezpieczeństwa, godności, integralności fizycznej i umysłowej, a także do dokonywania wyborów związanych z ze sferą seksualną i reprodukcyjną oraz do zdrowia w tym zakresie. Przemoc wobec kobiet jest przeszkodą w osiągnięciu równości kobiet wobec mężczyzn.

Zjawisko przemocy w Polsce jest skrywane mimo swojej powszechności. Badania w tym zakresie pokazują straszny obraz. Wobec kobiet stosowana jest przemoc fizyczna i psychiczna, przemoc domowa, przemoc seksualna...

Kobiety są nierówno traktowane w miejscu pracy, dyskryminowane pod względem wynagrodzeń...

Mam świadomość, że jest wiele różnic, chociażby fizjologicznych, mentalnych i życiowych pomiędzy kobietą i mężczyzną, ale one powinny nadawać ton odpowiednim działaniom, aby stwarzać systemy ułatwiające równość szans, niwelując owe różnice.

Mam tutaj na myśli, chociażby - tworzenie państwowego systemu powszechności żłobków, przedszkoli, całodziennego opieki nad dziećmi w szkołach podsta-



wowych. Dla mnie „miarą lewicy” w tym zakresie jest to, że żaden poseł, radny, wójt... wywodzący się z lewicy nie dołoży ręki do likwidacji placówek oświatowych tylko i wyłącznie mając za powód ekonomię. Lewicy pieniądze nie powinny przysłaniać człowieka.

Zysk to nie wszystko.

Beata Maciejewska - Fundacja Przestrzenie Dialogu

- Dla mnie jedną z „miar lewicy” jest walka o to aby nie było nędzy.

Mam w ręku książkę „Drogi Równości”, których wiele egzemplarzy leży na stole. Po naszym spotkaniu, będzie można bezpłatnie ją otrzymać. Książka jest o życiu i działalności Izabeli Jarugi Nowackiej. Jej poglądy są mi bliskie.

Wracam do tematu. W Polsce są potrzebne działania, które scalały, bardzo rozwarstwione polskie społeczeństwo. Lewica powinna przeciwstawić się neoliberalnym poglądom, że ubóstwo i bezdomność to wina ludzi dotkniętych tym permanentnym stanem. W większości przypadków tak nie jest. W naszym kraju jest wiele, może za wiele, rodzin bezrobotnych, gdzie nikt nie pracuje i to jest główną przyczyną ich ubóstwa. Co ciekawe w około 14% polskich rodzin jest jedna osoba pracująca, a mimo to rodzina doświadcza ubóstwa. W Polsce jest jeden z największych odsetek rodzin niedożywionych. A jednocześnie właśnie w naszym kraju jest największa dysproporcja pomiędzy zarobkami najwyższymi i najniższymi. Ponad 2 miliony Polaków żyje w skrajnym ubóstwie. Co trzeci pracujący Polak funkcjonuje w oparciu o tzw. „umowę śmieciową”, nie mając żadnych zabezpieczeń trwałości pracy i stabilizacji życiowej.

Mogłabym te dane, które na progu XXI wieku, w kraju takim jak Polska są normą - mnożyć. Mówi to o wielkiej znieczulicy elit, którym akcje charytatywne, bałe dobroć na pokaz mają zagłuszyć sumienie.

Lewica powinna pochylić się nad losem tych wszystkich wykluczonych od „pańskiego stołu”. Jeżeli będzie inaczej to, będziemy mieli do czynienia tylko z atrapą, a nie z towarem właściwej miary i dobrej jakości.

Opr. ao



Bałtycka Galeria Sztuki Współczesnej
www.baltic-gallery.art.pl e-mail: info@baltic-gallery.art.pl

Słupsk ul. Partyzantów 31a tel. +48 59 842 56 74

Celem artysty jest parcie w przód

Roman Lewandowski w rozmowie z Błażem Ostoja Łniskim.

Studiowałeś na Wydziale Malarstwa w warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych. Jednak poza dyplomem z malarstwa przeprowadziłeś też aneks z litografii. Skąd wzięło się u Ciebie to zainteresowanie grafiką w sytuacji, gdy dzisiaj nie jest to w sztuce medium wiodące?

Ukończyłem z wyróżnieniem Wydział Malarstwa ale nie tylko malarstwo determinuje moje działania artystyczne. Wybierając litografię na drugim roku studiów jako specjalizację dodatkową, wpisałem się w pewien krąg tradycji – nie powiem, że fatalnej, a jednak należę w jakiś sposób do szeregu artystów-malarzy uwiecznionych przez tę technikę. Wybrałem drogę, którą przede mną kroczili profesorowie Pakulski, Przybylski i Winiecki. Nazwiska tych artystów związanych z warszawską Akademią nie wszystkim kojarzą się z Wydziałem Malarstwa, a przecież to właśnie im litografia warszawska zawdzięcza tak wiele!

Ten ścisły związek litografii i malarstwa jest w pewnym sensie rzeczą tradycji. To dzięki artystom malarzom litografia uzyskała legitymację stawiającą ją w jednym rzędzie z innymi technikami graficznymi. Nadmienić trzeba iż w latach 60., grafika warsztatowa zajęła przodujące miejsce w życiu artystycznym kraju. Litografia jako samodzielna dyscyplina, nie służąca jedynie celom komercyjnym, była uprawiana m. in. przez Wyspiańskiego, Stanisławskiego, Mehoffera, czy Wyczółkowskiego – wybitnego artystę malarza związanego z warszawską Katedrą Grafiki.

W grudniu 2007 roku miałem przyjemność być komisarzem wystawy grafiki ze zbiorów Muzeum Narodowego, która miała miejsce w warszawskiej Królikarni. Była ona swego rodzaju prologiem planowanej na jesień 2008 roku pierwszej edycji Międzynarodowego Triennale Sztuk Graficznych im. Tadeusza Kulsiwicza. Przygotowywanie tej wystawy, uświadomiło mi i jeszcze mocniej przypieczętowało moje zamiłowanie i więź z grafiką. Wystawa ta jest aktem oswajania przeszłości, ukazuje jak twórcy poprzez swoje dzieła odzwierciedlali rzeczy istotne w ich rozumieniu definicji sztuki – to ciągle udawanie się w stronę natury, nierozdzielnie związanej z nieustannym ponawianiem pytań o istotę człowieczeństwa, ludzkie cierpienie, o groźbę ludzkiej egzystencji. Lecz to wszystko działo się w czasie, gdzie jeszcze było miejsce na szum wiatru. I to jest właśnie szansa dla mnie na odnalezienie siebie na dziś i jutro w sztuce przeszłości.

Dlaczego wybrałem właśnie litografię spośród tylu innych technik? Ale być może pytanie jest postawione niewłaściwie – być może to technika wybiera nas a nie my ją. Chłód i statyczność kamienia, jego niewzruszone piękno i skrywane bogactwo poruszają mnie do głębi, skłaniając do próby ożywienia jego martwej bryły. Kamień prowokuje do odkrywania go na nowo na każdym etapie. Gdy wybieram jedną z dróg,

mogę powrócić i zbadać dokąd prowadzi ta druga, której wcześniej nie wybrałem. Stąd w moich pracach powracają pewne motywy i znaki, które kolejno badam poprzez sprawdzanie jak

pracę nad kamieniem (litografią lub serigrafią). Kolejne warstwy zastrzegają sobie prawo do bycia uprzywilejowanymi i pieczołowicie przemyślanymi ruchami, tak jak u szachisty przy podej-



oddziałują na pozostałe, na zasadzie kontrastu, bądź komplementarności.

Czy uważasz, że grafika po okresie wielkiego boomu w latach 60. i 70. może ponownie stać się równie popularna, co w czasach Warhola?

Tak się już dzieje. Wystarczy spojrzeć na ostatnie bardzo ważne wystawy np. Kara'y Walker w Centrum Sztuki Współczesnej, gdzie oprócz znakomitych animacji pokazała świetne grafiki wykonane w tradycyjnych metodach druku wkleśnego. Drugim przykładem może być niedawno otwarta wystawa Goszki Macugi w Zachęcie, gdzie cykl litografii przez nią pokazywany reprezentował szlachetność tej techniki na najwyższym poziomie.

W Twoim malarstwie pojawiają się cechy i motywy, które – jak mi się wydaje – są inspirowane grafiką. Zwłaszcza znamienny jest fakt, że na obrazie często stosujesz zabieg powielania i powtarzania, który w jakiś sposób kojarzy się z matrycowaniem znaków w grafice. To jest zresztą procedura dość często dziś używana, bo bywa, że na przykład malarstwo naśladuje fotografię, a ta z kolei niekiedy może przypominać grafikę... Czy stosowanie tej strategii wynika u Ciebie z szukania analogii między mediami, czy też kieruje Tobą jeszcze inny powód?

Wielowarstwowość pracy na płótnie w moim przypadku bardzo przypomina

wa to na charakter tworzonych prac, zawierających w sobie formy-znaki. Raz są stawiane silnie i pewnie, a za chwilę jest to już zupełnie inne znakowanie w postaci giętkiej i ruchliwej kreski. Momenty zwolnienia kontroli to momenty automatycznego zapisu, bowiem pisanie to powtarzalność znakowania, a więc pewien automatyzm wynikający z charakteru pisma piszącej ręki a nie z powolnego cyzelowania formy. Dynamika i napięcie tych prac rodzi się nie tyle poprzez gest i zamaskowość wynikającą z ruchu ręki, co poprzez gęstość – tj. nawarstwianie kolejnych znaków

przez materię jak i materia przez formę. Gdy to nastąpi możemy odczytać kształt. Na przykład kształt paproci zastępy niczym piękna, statyczna skamielina poprzez szereg relacji określającą ją, dalece różni się od idei wyrażonej w naturze. Pojawiają się też inne elementy w postaci liter. Nie chodzi tu jednak o rekonstrukcję farbą przedmiotu, nie odtwarzam, lecz kreuję, tworząc własny system znakowania. Umysł i dłoń napędzają się wzajemnie. Nie jest to jednak swobodnie kreślony znak, każda figura powoli narasta w czasie. Częstokroć tajemnicze przemiany ma-

terii wykraczają poza możliwości opisu kształtu. Ślad przedmiotu jest odległy, proveniencja figury pozostaje w sferze naszych domysłów, nie posiadamy namacalnego dowodu jakim jest fakt odciśnięcia. Czas zostaje wchłonięty, efektem czego jest obraz-obiekt, wielowarstwowy, ciężki od narastającej substancji malarskiej, zawieszony w czasie i przestrzeni. W moich pracach unikam bogactwa form i kolorów. Moje prace są niczym wariacje muzyczne na ten sam temat, zmieniam tylko akordy modelu, jąc niuanse. Staram się aby kolor budujący formę był jak nuty rzucone na pięciolinie. Lecz nie powinny one tworzyć tylko estetyczno-wizualnego wrażenia, dążę do tego aby pod każdą nutą krył się dźwięk, który w konsekwencji tworzyłby jednorodną wypowiedź artystyczną. Kolory są stonowane, rozpiętość skali szarości uderza w poszczególne tonach i półtonach. Nie boję się niedoskonałości, cechuje mnie ostrożność i dokładność, precyzja w twórczych poszukiwaniach. Ten rodzaj podejścia do malarstwa nie pozwala na szybką pracę, powierzchowną manipulację; niezbędna jest cierpliwość, skupienie, obserwacja procesów zachodzących na powierzchni obrazu i następnie modelowanie kolejnych warstw. Z tej materii tworzę swój świat, który porządkuję od nowa, zachowując czułość dla detalu a jednocześnie odrzucając zbędne elementy, zostawiając esencję, uwydatniając rytm wielokrotnie przekształcanej formy. Malarstwo moje jest jak strumień czasu, z którego wylatują zeschnięte liście a zostaje szkielet. Oswajanie materii...

Twoja najnowsza wystawa w Bałtyckiej Galerii Sztuki Współczesnej w Słupsku prezentuje przede wszystkim malarstwo o prace wideo. Czy jesteś zadowolony z tego pokazu?

Bardzo!

wchodzących ze sobą w interakcje. Ważna jest też konstrukcja przestrzeni, w której są umieszczane.

Często w Twoich pracach pojawia się motyw pisma. Ma on jednak znaczenie nie tylko dekoratywne i estetyczne, ponieważ przytaczane u Ciebie litery, słowa, zdania odwołują się z reguły do jakichś emocji, a być może także do filozofii i to – bynajmniej – nie samej sztuki. Jaka jest zatem genealogia tej procedury?

Motywy przewodnim dla mnie jest figura, pismo, pejzaż, elementy pejzażu jako formy nie dające się jednoznacznie zdefiniować. Pojęcie przemiany podlega niekończącym się zmianom i przekształcaniom. Kształty nigdy nie powtarzają się dosłownie a jedynie zmieniają swoje miejsca odniesienia. Formy nie odzwierciedlają lustrzanie obiektów świata rzeczywistego, nie przedstawiają wyglądu jakiegos obiektu ale nasuwają skojarzenia, wyrażają jego stan wewnętrzny. Skręcone i skrępowane, organiczne – kształty żyjące własnym życiem, niejednokrotnie nacechowane ukrytą, zamaskowaną zmysłowością. Umieszczenie tych form w konkretnej rzeczywistości nie jest możliwe, choć możemy je rozpoznać jako „znajome”.

Nie są to stałe kształty w swej formie. Stopień poznawalności wzrasta w miarę głębszego ich poznania. Zarówno forma jak i materia same istnieć nie mogą. Forma musi być ukształtowana

Zaproszenie:

21 marca w Galerii Kameralnej o godz. 18.00

Roman Lewandowski wygłosi wykład „Hansa Bellmera mała anatomia podróży”.

23 marca serdecznie zapraszamy na otwarcie dwóch nowych wystaw:

17.00 Baszta Czarownic „Zapętlenie” Andrzej Wasilewski, Maria Wasilewska

18.00 Galeria Kameralna otwarcie wystawy Sabiny Fabryczny

Krystyny mają imieniny

To już pewnie taka nowa, słupska, świecka tradycja. 11 marca trzy dni po Święcie Kobiet panie znowu opanują miasto. Tym razem będą to Krystyny i... Bożeny, które w tym samym dniu co Krysi obchodzą swoje imieniny. Spotkają się w niedzielę 11 marca o godz. 13.13 na Rynku Rybackim koło Herbaciarni, przy Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku.

Inicjatorka tego przedsięwzięcia Krystyna Danilecka-Wojewódzka zaprasza wszystkie panie o imieniu Krystyna o wzięcie udziału w obchodach imienin, tego - jak twierdzi, najpiękniejszego damskiego imienia.

A oto zalecenia organizatorek dla Krystyn:

Kochane panie, wszystkie mamy czerwony element stroju: - apaszka-szal, kapelusz, czapka, rękawiczki, torebka, buty, płaszcz.

Do wspólnego świętowania swojego święta zaproszono Bożenki, które dla odróżnienia powinny mieć - element zielony, bo to Ich kolor.

Przygotowany będzie transparent: „Słupskie Krystyny mają imieniny”. Ponadto każda z pań otrzyma czerwony balonik i symbole szczęścia - żaby.

Krystynom i Bożenom przygrywać będzie Orkiestra „Reduta”, która rozpocznie fanfarami, jako sygnał do rozpoczęcia imienin.

Później będzie oficjalne przywitanie Krystyn i prezentacja imienia, waleń solenizantek oraz wszystkich możliwych przymiotników od imienia i skojarzeń Krystyna i Bożena.

Wystąpi zespół wokalny „Wiarusy” pod kierownictwem płk Romualda Detmera, wielkiego miłośnika Krystynek i Bożenek.

Hołdy dla Krystyn i Bożen złożą: Zbigniew Konwiński - od Narodu, Ryszard Stus - od powiatu słupskiego i Krzysztof Sikorski - od słupszczan.

Później będą prezenty dla najmłodszej Krysi, najwcześniejszej urodzonej i o najdłuższych włosach.

Mile widziane inne, spontaniczne prezenty od darczyńców. Gazeta „Moje Miasto” ufundowała specjalny prezent dla Krysi, która na drugie imię ma Bożena. Jeżeli będzie więcej pań o takich imionach, otrzyma je ta, która najdłużej mieszka w Słupsku. Jak nie będzie Krysi Bożeny, otrzyma prezent Bożena Krystyna.

Odegrany zostanie hymn Krystyn - solo i przez chór. Po nim prezentacja haseł z imieniem Krystyn i Bożen.

Po uroczystościach na Rynku Rybackim odbędzie się przemarsz Krystyn, Bożen i przyjaciół na czele z orkiestrą „Reduta”, zespołem „Wiarusy” i rycerzem Kamilem ulicami miasta.

A później: otwarcie „Krysiniego Rynku”, oddanie „Skweru Bożenki”, przekazanie „Mostu Krystyn”, powierzenie



rzeki Krychny, przekazanie przez dyr. Muzeum Pomorza Środkowego - Zamku Krystyn Pomorskich, odsłonięcie pomnika Krystyny X Słupskiej, nowe ulice: ul. Krystyny i ul. Bożeny oraz ul. Krystynki i ul. Bożenki, otwarcie salonu urody „Krystynka” i SPA „Bożenka”, latarnie i drzewa będą przystrojone w czerwonych i zielonych kokardach, fontanna na starym rynku udekorowana zostanie w czerwonymi parasolami i hasłem: „Przyszła Kryśka i fontanna znowu tryska.”, uroczyste otwarcie parku „Przyjaciół Krystyny i Bożeny”, odsłonięcie pomnika patrona mężów Krystyny, Krysi, Krychny, słodkości dla gości, tort imieninowy i kawa u Bożenki - przemarsz młodszych Kryś, przejazd autobusem piętrowym - wcześniej urodzonych Krystyn na ul. Poniatowskiego do Gastronomii Słupskiej Bożeny Hołowienko.

Uwaga!

Jak dowiedziała się z poufnych źródeł gazeta „Moje Miasto”, szykuje się męska kontrmanifestacja Bratomirów, Ernestów, Kasjanów, Markusławów, Roderyków i Trzebieśławów, którzy również 13 marca obchodzą imieniny. Panowie w dobie równouprawnienia i parytetów czują się przez Krystyny i Bożeny zdominowani i dyskryminowani.

Podobno również teściowie Krystyn czują się przez synowe niezauważani. Oni również cicho protestują i są tak zdeterminowani, że chcą założyć „Milczące Stowarzyszenie” imieniem Feliksa Dulskiego.

Mimo wszystko serdecznie wszystkich zapraszam, bo sam też będę, na tę wspaniałą zabawę, pełną humoru, relaksu i uśmiechu. No cóż, czas na wiosenne oczarowanie.

Andrzej Obecny
Teść Krysi

Pracownia Florystyczno-Artystyczna

IMAGINACJA

Agnieszka Domaradzka

mistrz florystyki

Żelkowo 23, 76-220 Główny, tel. 503 11 86 12
www.pfa-imaginacja.pl; e-mail: pracownia@pfa-imaginacja.pl



WIOSENNE OCZAROWANIE



Szanowni Państwo!

Znowu mamy wiosnę! - Przebudzenie przyrody i każdego z nas. Chyba właśnie na tę porę roku czekamy z największą niecierpliwością, spragnieni słońca, zieleni i oczywiście kwiatów.

Gdy nadchodzi kalendarzowa wiosna, 21-go marca, często na dworze leży jeszcze kołderka śniegu, a mróz sobie o nas przypomina, ale to ostatnie „podrygi” zimy. Wesoła, kolorowa wiosna wygląda już z prawie każdego kąta. Dla wielu z nas przebudzona w pełni,

to najpiękniejsza pora roku. Czujemy się radości, pełni sił witalnych, w głowie powstają nowe pomysły, a uśmiech nieustannie gości na naszej twarzy. Wszystko wokół zaczyna się zielenić, kwieć i pięknie pachnieć. Moment, gdy na drzewach pękają pąki i wychylają się z nich kwiaty oraz liście, ma wielki urok. Dlaczego więc nie zachować tego stanu na dłużej? Spróbujmy zatem choć

odrobinę tej magii przenieść do wnętrza. Z całą pewnością warto zadbać o wiosenny wystrój w naszych domach, mieszkaniach, biurach czy sklepach.

Florystyczni eksperci znają doskonale niezwykle wiosenną aurę. Wiedzą, że na wiosnę wyzwania dla nich co niemiara, gdyż wówczas moc kwiatów działa jeszcze silniej, poruszając zmysły. Dlatego też kompozycje przez nich przygotowane tętnią życiem i świeżością,

są różnorodne, dając możliwość wyboru tych, które najbardziej nam odpowiadają. Lista wiosennych „autorów” jest długa, więc repertuar sezonowych kompozycji może być bogaty. Rośliny występują w dużej liczbie gatunków, a także mnogości odmian różniących się nie tylko pokrojem, ale i wielkością oraz kolorystyką kwiatów. W tym sezonie królują przede wszystkim, nieśmiałe pastele, delikatne barwy oraz ponadczasowa biel. Oczywiście

wczesna wiosna kojarzy nam się głównie z gatunkami roślin cebulowych. Wyjątkowym powodzeniem cieszą się hiacynty, narcyzy, szafirki, tulipany. Pamiętajmy o ciemiernikach, niezapominajkach, stokrotkach COŚ czy kolorowych bratkach. O tej porze roku zazwyczaj przycinane są drzewa w sadach parkach. Warto więc rozejrzeć się wokół i wykorzystać w kompozycjach różne, jeszcze bezlistne gałązki. W ciepło po wstawieniu do wody, szybko zmienia swój wygląd, nabrzmiałe pączki są bardzo dekoracyjne i ciekawie wyglądają w kompozycjach.

Drodzy Państwo - niech tegoroczna wiosna rozkwitnie nowymi ideami, a wszelkie wyzwania zaowocują powodzeniem i sukcesami. Niech ten numer będzie zapowiedzią Wielkanocy, która zbliża się wielkimi krokami. Do zobaczenia w wielkanocnym numerze!

Agnieszka Domaradzka
mistrz florystyki



KRISTYNY maja im



Nie jesteście same

Około pięć tysięcy kobiet przyjechało w niedzielę do Sali Kongresowej w Warszawie na organizowany przez Sojusz Lewicy Demokratycznej Sejmik Kobiet Lewicy. Tematem przewodnim była przemoc w rodzinie. Jednym z priorytetów polityki Sojuszu wobec równego statusu mężczyzn i kobiet jest działanie aby zwalczanie przemocy wobec kobiet było podstawowym obowiązkiem państwa i każdego obywatela. Na Kongresie wysłaliśmy jasny sygnał, tym wszystkim kobietom w Polsce, które dotyka przemoc: Drogie panie nie jesteście same!

Przemoc wobec kobiet niekonięcznie ma twarz brutalnego prostaka. Bywa, że ma twarz wziętego biznesmena, pana polityka, albo rumianą i dobronliwą twarz miejscowego proboszcza. Przemoc dotyka kobiet w każdym wieku, niezależnie od wykształcenia, dochodów, pozycji społecznej. Są one bite, gwałcone, molestowane, padają ofiarą wykorzystania i handlu ludźmi, często nie mają dokąd uciec i nie mają środków, by się skutecznie bronić.

Jest to hańba naszych czasów i hańba naszych rządów.

Dlatego domagamy się aby dzisiaj o tym mówić, aby przywrócić należną rangę Świętu Kobiet. Aby 8 marca stał się świętem państwowym. I nie chodzi tylko o to aby wręczyć paniom nieśmiertelny goździk, ale by poważnie mówić o prawach kobiet, o równym traktowaniu, napiętnować przemoc w rodzinie, protestować przeciwko sprowadzaniu roli kobiety do przysłowiowej „kury domowej” lub „maszynki do rodzenia”, przedmiotu mającego nieraz mniejsze znaczenie niż telewizor plazmowy.

Przypominam, że Dzień Kobiet został ustanowiony w 1910 roku, jako wyraz szacunku dla ofiar walki o równouprawnienie kobiet, na pamiątkę tragedii amerykańskich robotnic. Strajkujące kobiety zostały zamknięte w fabryce przez właściciela. W pożarze który wybuchł w budynku zginęło 126 kobiet.

Chcemy, aby w każdym strukturach SLD powstały grupy, które będą śledzić rozwój tego zjawiska, patologii, udzielać pomocy prawnej i skutecznie przeciwdziałać przemocy.

Leszek Miller

Listy od Czytelników

Ludowych Waldemar Majcher przestraszył się wielkiego brata i tuż po otrzymaniu pisma w sprawie zmiany nazwy nagrody, pisma opatrzonego efektownymi pieczęciami (pokazał je w TV), zamierzał przychylić się do prośby Amerykanów. Jednak po burzy medialnej, związanej z nagłośnieniem sprawy, zdecydował się walczyć o nazwę Ludowe Oskary.

No i co Panie Tusk - nie twierdzą, że to powód do dymisji rządu, ale ktoś, kto tak jak minister Boni zaniedbał analizę skutków podpisania tego już przelawnego paktu, powinien ponieść konsekwencje.

Na szczęście dla nas arogancja Amerykanów wzbudziła sprzeciw nie tylko twórców (zbierają w Internecie podpisy), ale nawet prawników. Znalazła się kancelaria adwokacka, która dla dobra publicznego chce bronić Stowarzyszenia za darmo.

Panie Premierze, może pora nie tylko wycofać się z ratyfikacji ACTA, co Pan już konsekwentnie zapowiada. Może trzeba się dogadać z chińczykami, jak prawa autorskie łamać i na tym zarabiać.

Władysław Hałasiewicz

Witaj Andrzej

Przeczytałem twój artykuł o „Żołnierzach Wyklekłych”.

Dziękuję za wzmiankę o ojcu. Ani władze emigracyjne ani władze polskie zarówno rządowe ani sztabowe nigdy nie uznały wniosku gen. T. Kutrzeby. Jedynie PRL uznał zasługi za całość dowodzenia nad Bzurą odznaczając ojca Złotym Krzyżem Virtuti Militari.



Dlatego cieszę się, że w Kongresie brały udział panie ze Słupska: Dorota Borkowska-Wierzbą, Anna Kubiak i Katarzyna Koper-Jeleńska. Mam nadzieję, że panie będą w ramach swoich organizacji, z pomocą słupskiego SLD, grupą inicjatywną, która monitorować będzie sprawę przemocy w rodzinie na terenie Słupska.

Kongres był zorganizowany bardzo sprawnie, jednak miał jedno poważne niedociągnięcie, za które przeprosiłem. Sala Kongresowa była za mała, aby pomieścić wszystkie panie, które przyjechały na Kongres. To też świadczy o ważności i powszechności zjawiska przemocy w rodzinie.

Leszek Miller

Miasto Słupsk uczciło pamięć ojca nazywając jego imieniem rondo (u zbiegu ulic: Boh. Westerplatte, Gdyńska, Kozińskiego - dop. red.). (Twoja zasługa) Władze otaczają opieką jego grób. Ten grób ma odpowiednią rangę i dodaje (tak myślę) trochę prestiżu temu pięknemu cmentarzowi.

Żołnierze Wyklęci? Kiedyś kiedy miałem „gorącą głowę” Ty mi powiedziałeś żołnierz jest żołnierzem i robi to co mu dowódca każe. Od tego czasu przeczytałem wiele książek, widziałem wiele dokumentalnych filmów i moja opinia zgadza się całkowicie z Twoją. My Polacy nie zawsze byliśmy świętymi.

Jak nie czytałeś przeczytaj „KONARMIA” Izaaka Babla.

Prostemu żołnierzowi natchniano trocin do głowy niezależnie czy służył w AK, WIN, NSZ UPA, AL, GL, LWP, itp. a nawet ci których wzięto do armii niemieckiej z terenów polskich (wyjątek NKWD i Szmersz) czy też w innych organizacjach podziemnych w różnych szerokościach geograficznych.

Wojna domowa w Ameryce też pokazała zwierzęce instynkty człowieka.

Tak zawsze było i będzie.

Robienie z tego święta to trochę śmieszne i na wyrost. Ideologie są tworzone na zamówienie i wokół nich urabia się społeczeństwo i wojsko niezależnie od barwy sztandaru.

Tak myślę.

Pozdrawiam

Mirosław Mozdyniewicz
Nowy Jork

Mistrzostwa Polski Seniorów



Gajewską.

W mistrzostwach wypełniono normy na arcymistrzów: Krzysztof Bulski oraz Krystian Kuźmich uzyskali wymagany ranking. Dla reprezentanta HetMaNa Szopienic jest to ostatnia norma i już wkrótce będziemy mieli w Polsce nowego arcymistrza!

Na zakończeniu obecnych było

W Warszawie zakończyły się 69 Mistrzostwa Polski Mężczyzn oraz 64 Mistrzostwa Polski Kobiet. Mistrzem Polski został, po raz trzeci z rzędu, Mateusz Bartel, który obronił zdobyty przed rokiem tytuł. Jest to w sumie 4 złoty medal w kolekcji zawodnika Polonii Votum Wrocław. Drugie miejsce zajął pokonany dopiero w dogrywce Bartłomiej Maciej, a brązowy medal Kamil Mitoń. Dziwi słaba dyspozycja Radosława Wojtaszka, który posiada najwyższy ranking ze wszystkich pozostałych graczy.

Mistrzynią Polski została Iweta Rajlich, która, podobnie jak Mateusz, zapewniła sobie zwycięstwo w dogrywce, w której pokonała koszalińską Joannę Majdan-Gajewską.



Brązowy medal przypadł broniącej ubiegłoroczne triumfatorce Jolancie Zawadzkiej.

Nagrody za najładniejsze partie zdobyli: Mateusz Bartel za zwycięstwo z Bartoszem Soćko oraz Joanna Worek za partię z Joanną Majdan-

wielu znakomitych gości, przedstawicieli sponsorów, mecenasów, partnerów Związku, patronów honorowych oraz medialnych, a także gość specjalny - prezydent Międzynarodowej Organizacji Szachowej FIDE Krisan Ilumżynow.



Paweł Weichhold pokonał zawodnika z rankingiem 2706 ELO

Wczoraj (4 marca) wróciłem z II Memoriału Szachowego im. Ferdynanda Dziedzica, który odbył się w Trzciance koło Piły. Na turniej pojechałem z Pawłem Weichholdem, Romanem Sikorskim oraz Kordianem Akamczykiem. Zawody zgromadziły przy szachownicach 188 zawodników, w tym aż 15 arcymistrzów. Trzech graczy posiadało ranking powyżej 2700 punktów ELO. Gościem specjalnym, oraz graczem dla którego zdecydowaliśmy sięjechać, był Aleksei Szyrow, legenda światowych szachów. Arcymistrz z Łotwy dwa razy był uczestnikiem

meczu o mistrzostwo świata. Za pierwszym razem miał grać z Kasparowem, który nie przystąpił (!) do meczu, a za drugim razem uległ Viswanathanowi Anandowi. Niestety żadnemu z nas nie udało się zagrać podczas turnieju z arcymistrzem. Musiałem zadowolić się wspólnym zdjęciem oraz autografem.

Po 9 rundach czterech zawodników miało równą ilość punktów, dlatego o ostatecznym wyniku zdecydowały baraże. Turniej wygrał najsilniejszy niemiecki szachista Arkadij Naiditsch, drugi był Ukraińiec Aleksander Moiseenko, trzeci

Łukasz Cyborowski, czwarta lokata przypadła Grzegorzowi Gajewskiemu, a dopiero piąty był Aleksander Szyrow. Wśród słupszczyzan najlepiej wypadł Paweł Weichhold, który zajął ostatecznie 23 miejsce. Jako jedyny pokonał w turnieju ukraińskiego arcymistrza Aleksandra Moiseenka (2706 ELO), czym odebrał mu najprawdopodobniej szansę na samodzielną triumf w turnieju. Dodatkowo Paweł został najsilniejszym juniorem w turnieju. Gratuluję. Kolejny Memoriał w przyszłym roku.

Michał Narkun
narkun@szachyslupsk.pl

KRZYŻÓWKA NR 5 - SYNTeza

1		2		3		4	5		6
				7					
8	9		10			11			
12									
						13		14	
15		16							
		17			18		19		20
21					22				
		23							
24					25				

Z przedstawionych poniżej wyrazów należy ułożyć krzyżówkę.
4 literowe: AGAR, ARNI, ATUT, DOLA, ETER, GEST, KLEJ, KRET, LUFT, LYON, OAZA, READ, STYR, WRAK, ZERO, ZRYW.
5 literowe: ANKRA, EDYTA, ELYAN, KASTA, KIROW, RETOR, TANIA, UBEDA.
8 literowe: AGITATOR, BALWIERZ, GALLOWIE, JURGIELT.

SUDOKU nr 5

7	4	9	1	2			8	3
	2			6		9		
					4		2	
	5	1	2		8	7		6
		6			7	8		
4		7			6	2	5	
	3		4		9		7	
		8			1			
	1				2	3	6	5

Wypełniamy planszę w taki sposób, aby w każdym wierszu i w każdej kolumnie oraz w każdym kwadracie 3x3 znalazły się cyfry od 1 do 9 przy czym cyfry te nie mogą się powtarzać w żadnym wierszu, kolumnie i zaznaczonym kwadracie 3x3.
Rozwiązania krzyżówki i łamigłówki sudoku nr 5 prosimy przesłać do dnia 24 marca 2012 roku listownie (decyduje data stempla pocztowego) na adres redakcji 76-200 Słupsk ul. Wierzbowa 4. lub e-mailem na adres obecny@poczta.onet.pl. Wśród autorów poprawnych rozwiązań rozlosujemy nagrodę książkową.
Nagrodę za poprawne rozwiązania z nr 3 gazety wylosował: Jan Brozis z Wołczy Małej. Nagrodę przesłamy pocztą.

HOROSKOP

wrózka Rafała



BARAN
21.III - 20.IV

Nowe uczucie okaże się niezwykle romantyczne. Otworzysz się na doznania i odkryjesz nieznaną dotąd rejon. Oderwiesz się od szarżowności codziennego dnia i dasz się ponieść marzeniom. Moment refleksji bardzo się przyda, by uniknąć błędów w przyszłości. Chwilowo poprzestań tylko na robieniu planów, szanse warte starań pojawiają się nieco później.



BLIŹNIĘTA
21.IV - 21.V

W miłości bardzo wiele będzie zależało od Twojego taktu. Postaraj się wykażać opanowaniem i spokojem. W miejscu pracy nie daj się wciągnąć w żadne intrygi. Sprawdź na bieżąco informacje. Zanim złożysz swój podpis na jakimkolwiek dokumencie, przeczytaj go przynajmniej dwa razy.



RAK
21.V - 21.VI

Niewykluczone, że nadszedł odpowiedni czas na poważne zmiany w Twoich uczuciach. Nie daj się ponieść emocjom i oceń sytuację na zimno. W głowie będziesz mieć lekki mętlik, a na biurku papierkowy bałagan. Zastanów się, czy nie wzięliście na siebie zbyt wielu obowiązków? Skoncentruj się na sprawach zawodowych.



LEW
21.VI - 22.VII

Najbliższe dni zapowiadają się w kratkę, niosąc humorki i chmurki. Będziesz niezadowolony z różnych drobniostek. Atmosfera w rodzinach powinna być ciepła i miła, a temperatura uczuć pójść w górę. To będzie dobry czas na decyzje o zmianie pracy, poważne transakcje, spotkania w interesach.



PANNA
22.VII - 22.VIII

Nie oczekuj super atrakcji, aczkolwiek sprawy w rodzinach ułożą się sympatycznie. W pracy przygotuj się na konieczność szybkiego podjęcia decyzji, co do której będziesz mieć mnóstwo wątpliwości. Twoja bateria potrzebuje naładowania, nie żałuj więc czasu na spacer i odpocznik, ani pieniędzy na witaminy.



WAGA
22.VIII - 22.IX

Planety wróżą Ci korzystne propozycje, poprawę warunków pracy, wzrost prestiżu lub kredyt zaufania u przełożonego. Pamiętaj, że nadmierne pragnienia i aspiracje nie są dobrymi doradcami. Nie ulegaj nadmiernej brawurze, lepiej zaczekać na bardziej odpowiedni moment, niż wystawiać się na niebezpieczeństwa.



SKORPION
22.IX - 22.X

Będziesz pełna energii i wdzięku. Niewykluczone, że wybierzesz się na mały wypad gdzieś w plener. Nie nastawiaj się na zawodowe sukcesy. Strzeż się niefrasobliwości i bałaganu, nie pozwalaj sobie na zapomnienie o istotnych sprawach lub niedbałe ich załatwianie. Maksymalnie skoncentruj się na pracy, to pomoże uniknąć pomyłek.



STRZELEC
22.X - 22.XI

Planety zapewnią Ci wysoki poziom energii, łatwość nawiązywania kontaktów z ludźmi i dużą intuicję. To kiepski okres na podejmowanie życiowych decyzji. Niewykluczone również, że właśnie teraz odczujesz skutki błędów popełnionych wcześniej. W pracy będziesz mieć ograniczone pole do popisu. Najwięcej zdziałasz kierując się intuicją.



KOZIOROŻEC
22.XI - 22.XII

W Twoje życie wkładnie się bałagan, a psychiczna kondycja nie będzie najlepsza. W domowych pieleszach możliwe spiętrzenie obowiązków. Planety sygnalizują potrzebę reorganizacji życia rodzinnego lub konieczność załatwienia jakichś istotnych spraw. Skrupulatnie notuj wydatki, pojawiają się bowiem nowe potrzeby i gotówki będzie ubywać.



WODNIK
22.XII - 20.I

Zapowiada się twórczy okres. Planety natchną Cię odwagą i determinacją. Będą pilnować by Twoje plany się ziściły, a nie zostały tylko na papierze. Intuicja i empatia pozwolą Ci wczuć się w problemy innych. Przybędzie Ci wdzięku, subtelności i gustu. W stałych związkach niewykluczone przeprowadzki i powiększenie rodziny.



RYBY
20.I - 19.II

Staraj się opanować agresję i nie szukaj dziury w całym. Jak najczęściej przebywaj na świeżym powietrzu. Spaceruj po parku lub wybierz się w weekend na wycieczkę do lasu. Mogą Ci bowiem dokuczać nadmierne stresy i znaczne obniżenie formy.



BLIŹNIĘTA
21.III - 20.IV

Dostaniesz od losu szansę, aby nadrobić stracony czas. Twoja pozycja zawodowa rysuje się raczej stabilnie, osiągniesz poczucie bezpieczeństwa i otoczy Cię powszechny szacunek. Nie będą Ci raczej grozić żadne nagłe tarapaty. Jeśli jednak nosisz się z zamiarem zmiany pracy, chwilowo nie rób tego, bo łatwo wpadniesz z deszczu pod rynek.

Humor – Kot

Idą dwa koty przez pustynię. Jeden mówi do drugiego:
- Wiesz co? Nie mogę odgarnąć tej kuwety.

Jak długo żyje mysz?
- To zależy od kota.

Mężczyzna postanowił pozbyć się kota. Zapakował go w koszyk i wywiózł do innej dzielnicy. Zadowolony, że pozbył się problemu, wraca do domu - kot już tam jest. Nie zrażony, na drugi dzień wywozi kota za miasto i szybko leci do domu. W domu zastaje kota.... Myśli sobie: „Uparta zaraza”. Nazajutrz wywozi kota krętymi drogami 100 kilometrów od miasta. Po niedługim czasie dzwoni do domu: - Jest kot? - pyta żony - Jest. - To dawaj go do telefonu, bo nie wiem jak do domu wrócić...

Żona pokazuje mężowi magazyn mody z najnowszymi modelami zimowymi i mówi:
- Chciałabym mieć takie futro...
Na co mąż spoza gazety:
- To jedź whiskas.

Przychodzi facet z gadającym kotem do łowcy talentów. Gość musi zademonstrować zdolności kota, więc zadaje mu pytanie: - Jak się nazywa drobną węgiel? Kot odpowiada: - Miał!!! Potem facet pyta: - Jaka jest forma czasu przeszłego czasownika "mieć" w trzeciej osobie rodzaju męskiego? Kot znowu odpowiada: - Miał!!! Łowca talentów wyrzuca obu na ulicę. Na ulicy kot wstaje, otrzępuje się i mówi: - Może ja, cholera, mówiłem niewyraźnie?

Czy nie widziała pani mojego męża? Godzinę temu poszedł utopić w rzecę kota...
- Skoro pani wie, gdzie jest, to czemu pani pyta?
- Bo kot wrócił do domu...

Wpada niemiecka mysz do baru siada na stołku i się wydziera do barmana: - Kufel Heinekena proszę!!! - Mogę ci nalać ale pod barem śpi kot - rzecze barman polerując kieliszki... - To poproszę pół kufelka i znikam - wyszeptala wystraszona mysz. Niebawem wpada polska mysz do tego samego baru siada na stołku i się wydziera do barmana: - Setkę wódki proszę!!! - Mogę ci nalać ale pod barem śpi kot - rzecze barman polerując kieliszki... - Hmm... to jeszcze 2. sety i budzić Skurczybyka!!!

Dlaczego Kot jest lepszy od mężczyzny
1. Kot zawsze trafia do kuwety kiedy się załatwia.
2. Jest większa szansa na nauczenie kota czegokolwiek.
3. Nie musisz udawać, że podoba ci się to, co twój kot przywlecze do domu.
4. Nigdy nie musisz spędzać czasu z matką twojego kota.
5. Kot mruczy kiedy podajesz mu obiad.

Rozmawiają dwaj mężczyźni przy barze:
- Pan żonaty?
- Nie, kot mnie podrapał.

Kot przewraca się na posłaniu i nie może zasnąć. Dokucza mu pchła.
- Aj, ty, pchło! - powiada wreszcie zniecierpliwiony - Ja ciebie nie rozumiem! Albo ty jesteś zdrowa - to co ty robisz w łóżku? Albo ty jesteś chora - to dlaczego ty skaczesz?...

W piękną księżycową noc, gdzieś na dachu dorodny kocur kocha się z cudną rudą kocicę. W ostatecznej chwili uniesienia kocur mruczy: - Mógłbym chyba dla ciebie umrzeć. Kotka spojrzała spod przymkniętych powiek swoimi pięknymi zielonymi oczami.
- Taaak, a ile razy?

Nie zwlekaj! Już dziś zaplanuj swoją reklamę

w dwutygodniku

MOJE MIASTO

Oto najprostszy cennik reklam:

Jednostką reklamową jest jeden moduł

Posiadający wymiary: szer. 42 mm i wys. 29 mm

strona liczy 60 modułów: 6 kolumn i 10 wierszy

Cena 1 modułu wynosi: 29 zł. 28 gr. (z VAT)

Szczegóły reklamy prosimy uzgadniać

Pod telefonem 609 781 705

lub e-mail obecny@poczta.onet.pl

to pewny sposób
na dotarcie
do odbiorców
Twojej oferty

MOJE MIASTO

Moje Miasto bezpłatny dwutygodnik

Wydawca:

Agencja reklamowo-wydawnicza Moje Miasto

Adres wydawcy i redakcji:

76-200 Słupsk, ul. Wierzbowa 4

Kontakt tylko przez:

Tel. kom.: 609 781 705

e-mail: obecny@poczta.onet.pl

www: mojemiasto.słupsk.pl

Redaguje gazetę: zespół

Redaktor naczelny: Andrzej Obecny

Druk: Drukarnia POLSKAPRESSE sp.

z o.o. w Gdańsku

Nakład: 5000 - 10000 egz.

Znak graficzny, nazwa i wszelkie prawa
zastrzeżone. ©2012

Wydawca i redakcja nie ponoszą odpowiedzialności za treść reklam, ogłoszeń, tekstów sponsorowanych oraz listów i opinii Czytelników. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie prawo do ewentualnych skrótów tekstów przyjętych do publikacji. Poglądy, opinie i przekonania autorów wyrażone przez nich w artykułach nie są opiniami redakcji i wydawcy.

Przedruk lub publikacja w każdej innej postaci materiałów drukowanych w czasopiśmie „Moje Miasto”, tylko za zgodą redaktora naczelnego.

Japońscy dziennikarze z wizytą w Kobylnicy

Z studyjną wizytą do Gminy Kobylnica przyjechali 28 lutego w towarzystwie przedstawicieli Polskiej Agencji Prasowej i Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Warszawie japońscy dziennikarze. Wcześniej swoją wizytę złożyli w Gdańsku i Żarnowcu. Panów Koichi Ariyoshi, Nobuyuki Suzuki, Yasunari Mizuguchi i Akio Oikawa interesują inwestycje realizowane przez firmy japońskie na terenie Polski. W Kobylnicy zapoznali się z inwestycjami w energetyce odnawialnej, a zwłaszcza z działaniami Gminy zmierzającymi do zmniejszenia emisji dwutlenku węgla poprzez instalacje w budynkach jednorodzinnych i w obiektach użyteczności publicznej pomp ciepłych i urządzeń solarnych. Wizyta zakończona została obejrzeniem tych działań na terenie Gminy oraz spotkaniem na Farmie Wiatrowej japońskiego koncernu Mitsui i Japan Power gdzie zostało zaprezentowane im jej funkcjonowanie. (TW)



Po raz drugi w hali sportowej przy Zespole Szkół Samorządowych w Kobylnicy odbędą się **II Kobylnickie Targi Edukacyjne** dla gimnazjalistów. **Patronat nad Targami objął Wójt Leszek Kuliński.**

31 marca uczniowie, rodzice, a także wszyscy zainteresowani będą mogli zwiedzać stoiska przygotowane przez szkoły ponadgimnazjalne ze Słupska i powiatu słupskiego. Przewidujemy, że na targach zaprezentuje się około 30 szkół ponadgimnazjalnych (publicznych i niepublicznych), które udzielać będą informacji o kierunkach kształcenia i warunkach rekrutacji na rok szkolny 2012/2013. Uruchomione będą także punkty poradnictwa zawodowego i konsultacyjnego Poradni Psychologiczno-Pedagogicznej w Słupsku. Konsultacje te pomogą dokonać wyboru właściwej szkoły ponadgimnazjalnej i kontynuacji kształcenia. Swoją ofertę zaprezentuje także: Mobilne Centrum Informacji Zawodowej oraz Ochotniczy Hufiec Pracy ze Słupska.

Nauczycieli gimnazjum w organizacji Targów wspiera Gminne Centrum Kultury i Promocji w Kobylnicy oraz Gminy Zespół Ekonomiczno-Administracyjny - Gospodarczy Szkół w Kobylnicy. W przygotowaniach uczestniczyć będą uczniowie z Klubu Wolontariusza „Tęcza” przy Gimnazjum.

Program II Kobylnickich Targów Edukacyjnych:

- 10.00 - 10.10 - oficjalne otwarcie Targów;
- 10.10 - 10.30 - występ zespołu muzycznego;
- 10.30 - 13.50 - zwiedzanie przygotowanych stanowisk;
- 13.50 - 14.00 - zakończenie.

Zapraszamy uczniów trzecich klas gimnazjów, ich rodziców, nauczycieli oraz wszystkich zainteresowanych

Repertuar kulturalny Gminnego Centrum Kultury i Promocji w Kobylnicy sala teatralna - marzec 2012r.

18 marca godz.12.00 - spektakl dla dzieci „Nieznosne słońtątko”, bilety: 12zł/szt.

25 marca godz.18.00 - spektakl kabaretowy „Veñdetta a la kobieta”, bilety: 20zł/szt. oraz 35zł/2 szt. - pakiet dla dwóch osób

Bilety do kupienia- w kasie GCKiP w Kobylnicy ul. Wodna 20/4, sekretariat I p., tel. 59 842 90 61 oraz przed spektaklem